

**PAN  
JÓZEF BOJALSKI**

**DZIEDZIC  
DÓBR OSIN Z PRZYLEGŁOŚCIAMI**

PRZEZ

**SZYMONA GADULSKIEGO.**

KSIEGA I.

**POZNAŃ.**  
W KOMISIE KSIĘGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO.

**1854.**

m/3477

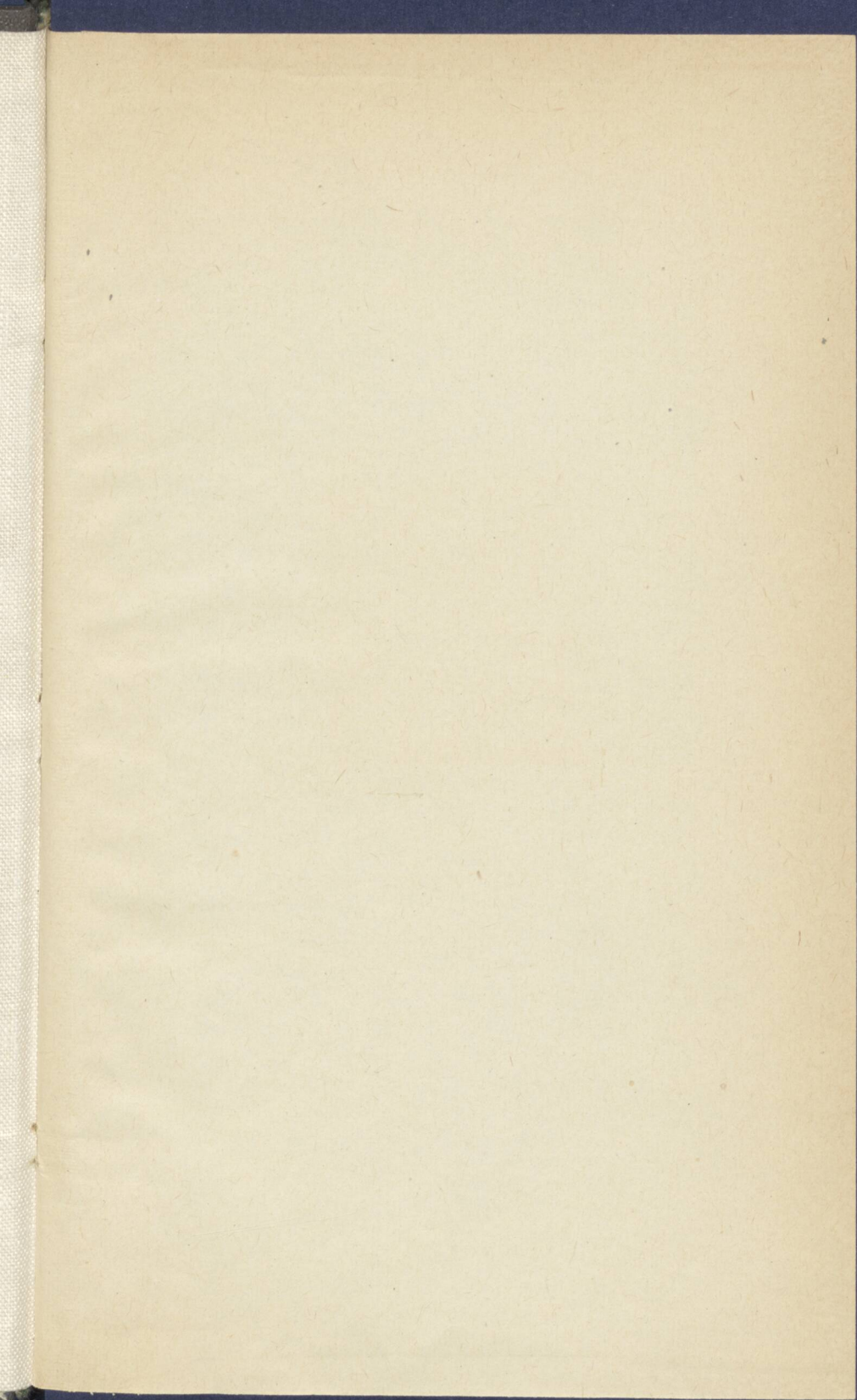
BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU

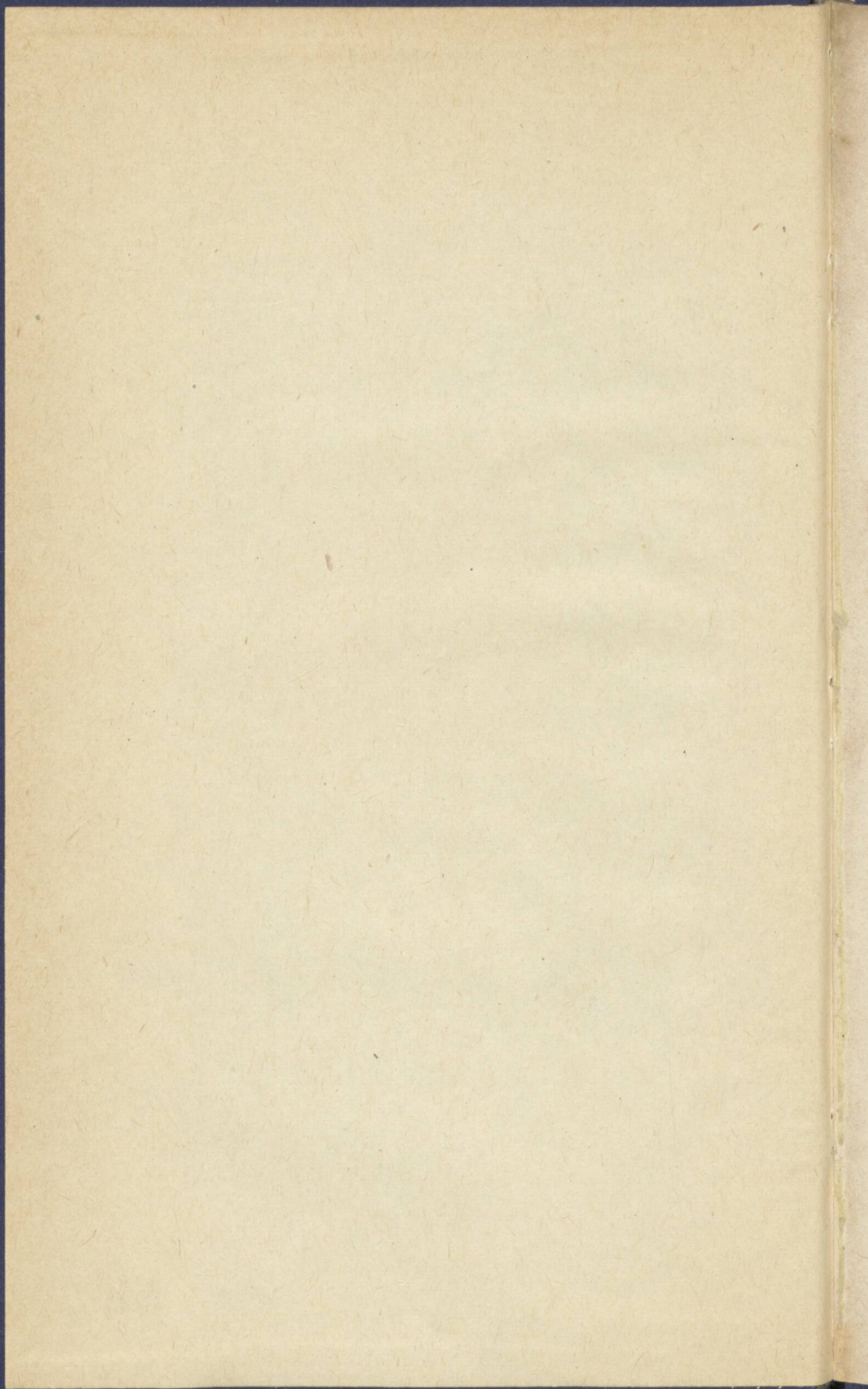


II

178296







BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU



II  
178296

178 296 II

**PAN  
JÓZEF BOJALSKI**

**DZIEDZIC  
DÓBR OSIN Z PRZYLEGŁOŚCIAMI**

PRZEZ

**SZYMONA GADULSKIEGO.**

*Księga pierwsza.*

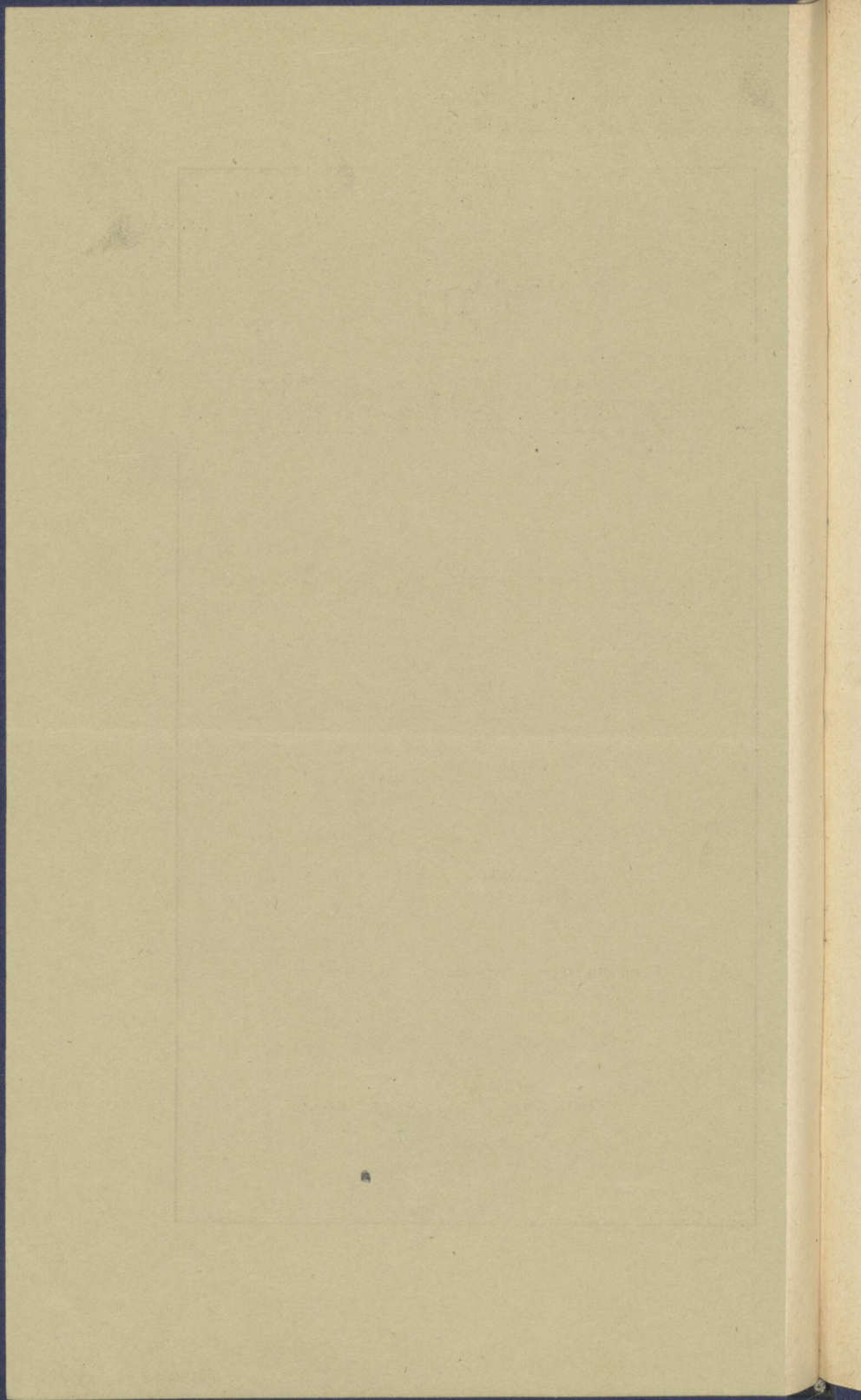
Cena złp. trzy =  $\frac{1}{2}$  talara = fr. 1 cent. 85.

**POZNAŃ.**

W KOMISIE KSIĘGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO.

**1854.**

lg.



**PAN  
JÓZEF BOJAŁSKI**

**DZIEDZIC  
DÓBR OSIN Z PRZYLEGŁOŚCIAMI**

PRZEZ

**SZYMONA GADULSKIEGO.**

KSIEGA I.

**POZNAŃ.**  
W KOMISIE KSIĘGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO.

**1854.**

m/3477

PAN

JOZEF BOJALSKI

DIKTYRANKA

DOBRA ORAZ Z PRZYKŁADAMI

178 296 II



1700182

J. 13067. 1222.

Poznań, czcionkami Ludwika Merzbacha. 8 W

1881

## PRZEDMOWA.

**Niema polskiej powieści.....**

— A to znowu!

— Dopiero zuchwalstwo!

— Niegodziwy, bezsumienny dzisiejszy duch!

Wszystko zaprzeczać, strącać, niczego nie uznawać, a na to żeby w zakończeniu powiedzieć: jestem ja!

— Cóż bo znowu!... to tylko sposób mówienia; on sam tego niemyśli, i nikt nie uwierzy.....

— Jakież więc cel?

— Osobliwość. Przyznam się że pisarz ma w tém słuszność. Nudno jest słyszeć zawsze to samo. Co mi to szkodzi, czy w książce jest prawda czy nieprawda, byle mnie bawiła. Wolę nawet nieprawdę, bo żwawiej o niej pisać.

— Na przykład gdyby ci kto mówił, że dwa razy dwa pięć?

— To, to, to. Dawaj mi tego. Niedowiedzie, to wiem zawczasu, ale będzie zabawnie gadał, a uspiłby od razu gdyby śpiewał starą piosenkę, że dwa razy dwa cztery.

— Niema polskiej powieści. Prawda budzi zawsze niechęci. Mniejsza o wasze okrzyki, spodziewaliśmy się ich, i nie dla waszjej pochwały braliśmy za pióro.

— Masz tobie! a dla kogoż ten jegomość pisze?

— Dla samych siebie przedewszystkiem, tak jest, dla naszego sumienia....

— Zacznie udawać świętoszka, wilk w baranięj skórze, ale mnie nie oszuka; poznałem w tych kilku słowach najniebezpieczniejsze wyobrażenia, jad i krew, bo one są na końcu wszystkich takich nowości.

— Lepiej obiecywało z początku, a gotowe stać się nudném.

— Niewarto byłoby pisać, gdyby się nie miało odwagi powiedzieć trochę prawdy niepytając się o to jak będzie przyjęta. Mówimy rzecz bolesną a niestety tak oczywistą, żebyśmy krzywdzili czytelników sądząc że jój trzeba dowodzić.

Zastanówcie się, a zobaczycie że niema dzisiaj polskiej powieści.

— Jakto? wcale a wcale?

— Wcale.

— A tyleż przecie nadrukowano,..... czy może nie po polsku?

— Już to niebardzo czystym językiem, ale przynajmniej po polsku.

— A może nie powieści?

— Powieści!.... to niedość dobitne. Są powieści a powieści.

— Między tylu pisarzami, czy wszyscy byli niezdolni, aż do ciebie?

— Daj Boże wielu tak zdolnych jak niektórzy z pomiędzy nich.

— A więc?

— A więc nic. Niema polskiej powieści.

— Coś mi się zdaje że z nas żartujesz.

— Nie. Rzecz do smutku, nie do żartu.

— To są zdolni pisarze, używają polskiego języka, a niemogliby się zdobyć, na co? na prostą powieść.

— Otoż widzisz, wymieniłeś niechcący co jest w samej rzeczy, i zdaje się że to lepiej uczyniłeś od nas. Mówiliśmy że niema polskiej po-

wieści; teraz pomyślmy czy nie właściwiej będzie powiedzieć, że wcale niema u nas powieści.

— Dowódź.

— Coś zaczyna być zajmujące. Tak zabrnął w niepodobieństwo, że musi brać się do sztuk łamanych. Uwagi! Patrzmy jak będzie się kręcić.

— Mamy zdolnych ludzi, którzy piszą po polsku powieści niepolskie, bo nie są obrazem naszego życia, nieprzedstawiają głównych jego rysów.

— Cóż chcesz, niemogą mówić wszystkiego co trzeba.

— Tłómaczysz sam dla czego nie tworzą polskiej powieści. Czy może istnieć wizerunek bez głównych rysów?

— Przystaję na to że wielu stron malować niemożna, ależ domowe życie, ależ rodzinne stosunki, czyż to małe jest pole?

— Dla powieści niema większego; ona nie chodzi z pochodnią i mieczem, nierozwija sztandaru na placu publicznym, i nie trąbi pobudki, ale.....

— Dotąd zgoda, dobrze mówione, tu zaś cię czekamy i schwytny mości pisarzu.

— .....ale wymaga wizerunków żyjących

jak w przyrodzie, ludzi prawdziwych, i tła prawdziwego od którego odstają. Bez tła rzeczywistego swojej chwili, niemasz właściwego oświetlenia, niemasz ani obrazu ani powieści, a tego dawać niewolno!..... Czyż w domowém i rodzinném życiu najcichszém, najwięcej odosobnioném, nieodbijają się stosunki ogólne narodu? Żeby wziąć najprostszy jakikolwiek przykład, czyż można je malować tając rzeczy główne, gromy i ciosy które albo na nie spadają, albo są zawieszane nad niem jako ciągła groźba, i najdrobniejszym jego szczegółom nadają osobliwe znamiona? Czy mógłbyś wyobrazić życie majtka, gdyby ci nie wolno było nietylko mówić, ale odległą nawet wzmiankę uczynić o morzu, o bałwanach i burzach?

— Jużci to jest oczywiste, że powieść drukowana w Warszawie lub Wilnie nie może przedstawiać dziejów wewnętrznych narodu, ależ przynajmniej wizerunki pojedynczych ludzi.....

— I tego niemoże, bo każdego człowieka trzeba przedstawiać całkowicie. Uczucia jedne z drugimi zawsze się wiążą, a jeżeli główne musisz zasłaniać, jakiż będzie twój obraz? Pozwól porównania. Gdyby malarz miał przedstawiać postać ludzką, a musiał plastrami czar-

nemi pozamazywać ją tu i owdzie, czyżby to co pozostało, mogło się nazwać wizerunkiem?

— I na to przystaję że niewszystkich można w powieści malować ale niektórych.

— Nawet i niektórych niemożna, bo w powieści musi działać wiele osób, z których każda powinna być prawdziwą, boć nie odmalujesz ani jednego żyjącego człowieka, chyba w stosunku z innymi prawdziwymi ludźmi, nie zaś z lalkami.

— Bezwątpienia wielu niedobrać takich, którychby można przedstawiać całkowicie i bez ogródki, ale przy zręczności pisarza można znaleźć kilku którzy wystarczą na powieść.

— Przerwałeś nam właśnie kiedyśmy mieli powiedzieć, że ani jednego takiego niema, bo każdy bez wyjątku ma jakieś narodowe strony, dodatnie bądź ujemne, bez których obraz jego bądź niebędzie prawdziwym i żyjącym.

— Mości pisarzu, jestem prosty człowiek, nie lubię wyrażen naukowych; na co mi gadać o dodatnich i ujemnych.

— Żadnego człowieka niema któryby nie był mniej albo więcej, dobrze albo źle myślącym, albo też wcale nie myślącym, to jest niejaki. Twórcy powieści zaś, nic nie wolno o tém mówić, nawet że jest niejaki. Przecież upo-

dobania każdego, sposób życia nie tylko za domem ale w domu, rozmowy poufałe rodzinne, od tego zależą, w którym też z tych trzech gatunków on się mieści, nie mówiąc już o różnych pomniejszych odcieniach.

— Alboż na to niepozostaje środek malowania serc ludzkich, jak gdyby rzecz nie działa się wśród tych drażliwych okoliczności o których trzeba milczeć?

— Konieczność może do tego zmuszać. Pierwszego rzędu zdolności na tém się marnowały, a podobno zmarnowały, ależ tego przynajmniej nie mianuj środkiem, boby to było nakształt lekarza, któryby śmierć nazywał lekarstwem przeciwko chorobie. To jest właśnie co zabija polską powieść, rozmyślnie pozbawiającą się cech i tła narodowości.

— Zostaje przynajmniej piękna powieść.

— Otoż wracamy do tego. Przeciwnie się dzieje, ginie wszelka powieść, ginie z braku rzeczywistości i prawdy, bo jój niemożna bezkarnie osnować na powietrzu i zawiesić w przestrzeni, ale trzeba ją osadzić w pewnym czasie i w pewnym miejscu, których barwą ma się zapełnić, aby nabrać cery życia.

— Gdybym na to pozwolił, zawsze jeszcze pisarz obrotny pomijając zakazane strony usposobień ludzkich, może jeszcze wiernie przedstawiać dozwolone. Przecież postacie nawet gdzieniegdzie zeszepeczone czarnymi plastrami, mogą jeszcze nie tracić wszelkiego wyrazu. Zręczność pisarza może czynić je przezroczytymi.

— Na takich sztukach, najpiękniejsze zdolności się zużyją, jakby chodzeniem w pętach, i staną się niezdolne do biegu. Wielkie niebezpieczeństwo, którego prawie niepodobna uniknąć, im towarzyszy. Widząc niezupełnie człowieka żyjącego, możesz jeszcze domyślać się tego co przed twojém okiem ukryte, ale niezapominaj że pisarz powieści tworzy ludzi, że takimi wychodzą z pod jego pióra, jakimi ich przemyśli. Tych zaś stron których mu tykać nie wolno, wcale już i nie myśli, a ztąd jego ludzie niezupełnie przemyśleni, nie są żyjącymi osobami. Niema przeciwko temu sposobu. Zdolność ginie marnie. O tych zaś i mówić już nie chcemy którzy błotem ciskają na uczucia najświętsze narodu.

— Poczekaj, poczekaj, a co powiesz o Panu Tadeuszu Mickiewicza, o Nocy letniój?

— O tych nie mówmy, powieść tak wysoko

nie sięga. Pierwszy jest poematem (\*), druga cudownym obrazem.

— Tém lepiéj; mamy więcéj jak powieści.

— Zgoda, ale te drogocenne klejnoty nie zastąpią potrzeby pospolitéj a skromnéj powieści. Dają nam niebieskie piękno. Trzeba obok tego ziemskiéj prawdy.

— Czy tylko pewnie ziemskiéj prawdy potrzeba? Czy nie strach żeby nasze piśmienictwo zaraziło się szaloném wszeteczeństwem obcych, od którego dotąd przynajmniéj jest wolne? Jeżeli to jest ziemską prawdą, téj nie pragnę.

— Może innym razem wejdziemy z tobą w rozprawę o wadach powieści, którą mieć pragniemy uczciwą, serdeczną i przystojną. Nie rozpaczalibyśmy jednak gdyby obok dobrych były złe.

— Coś tak mówisz o powieści jakby od niéj zrozumienie siebie samych zależało.

— Może aż tak. Trzebaby pomyśleć.

— Jeszcze raz, na co ta ziemska prawda z którą się codzien i tak trącamy?

---

(\*) Mickiewicz wprawdzie usiłował w Panu Tadeuszu schodzić ze swoich stref górnych, malować ziemską prawdę pożycia, ale..... któż niedojrzy, że on niejest stworzony do takiej potocznej roboty, że wieszcz zawsze bierze górę, badacz obyczajów za ledwie może się przy nim odezwać.

— Na co? A na co obrazy rodzinne w domu? Powieść jest więcej w narodzie, bo jest obrazem duchowym. W niej się patrzymy na swoich, w niej przekazujemy ich rysy odległym i rozrzuconym braciom, i następnym pokoleniem.

— To niby ma być pomnikiem dziejowym?

— Nie inaczej. Skromnym pomnikiem wewnętrznego życia. Polska powieści przybywaj!

— Mości pisarzu trzymaj się ostro, bo kto tak krzyczy, surowie będzie sądzony.

— To twoje prawo czytelniku.....

— Patrzaj go!

— Daj skończyć. Ale powieści nie sądz z tego co napiszemy. Nasza słabość niech na nią nie spada.

— Aha! jak do rzeczy przychodzi, to strach!

— Nie przeczymy czytelniku, a jeżeli kiedy sam weźmiesz za pióro, tego patrzaj co o niej mówimy, a nie tego co uczynimy sami.

— Powiedz mi czy też z głowy pisesz, czy przerabiasz co się istotnie zdarzyło?

— Twoja rzecz o tém sądzić a nie nasza mówić. Wiadomo ci (a jeżeli nie, to się dowiedz) że co z przyrody zdejmowane, trąci niezręcznym przerysem i sklejaniami a nie odrodzi się w powtórzeniu; co zaś z wyobraźni samo-

dzielnie wysnute, może mieć ruch i życie. Niezręcznym kuglarstwem i brzydkiem samochwalstwem byłoby podpowiadać i wmawiać ci wyrok który ty sam powinieneś wydać. Zresztą powiemy ci sumiennie, że pisarz nigdy nie może być pewnym, jakim sposobem pomysł w jego głowie się począł. Lepiej więc od nas samych jesteś w stanie sądzić.

— Powiedz mi: twoja powieść czy się kończy w téj księdze?

— Nie czytelniku.

— A wiele będzie następnych?

— Tego jeszcze niewiemy.

— Niewiesz? toś jeszcze nie skończył?

— Mamy już ułożoną w myśli, aleśmy nie napisali ani słowa więcej.

— A na kiedy będzie gotowa?

— Pytasz czytelniku jak złego dłużnika. Może być że nie skończymy.

— A to pięknie, zacząć i potem schodzić z placu!

— To zależy od niektórych przyczyn, o które niemasz prawa się pytać, a potem głównie od ciebie.

— Rozumiem, od odbytu książki.

— Jeżeli nasz poborca księgarz nie wnie- sie kosztów, to się zatrzymamy, ale tego jeszcze niedosyć.

— No, jużci chcesz czegoś dla siebie.

— Chcemy nawet bardzo wiele.

— To będzie trochę trudno z książką niełatwego odbytu, bo zapewne po całym kraju nie będzie krążyć.

— Nierozumiesz. Za suchy kawałek chleba będziemy ci służyć. Więcej niż pieniędzy nam trzeba.

— Wiem teraz. Chce ci się sławy.

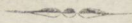
— Nie czytelniku, zawód powieści jest nadto skromny na to, a z resztą sława na tych dopiero spływa, którzy już spoczęli w grobie; nie ty rozdajesz ją ale potomni, i mądrze Pan Bóg tak rozrządził, aby nie narażać człowieka na upojenie i nie wzbijać w pychę. Nawet z boleścią słyszelibyśmy pochwały oparte na prostej osobliwości tego co mówimy z głębokiego przeświadczenia. Gdybyś nas złotem i oklaskami obsypał, ani jednego wiersza więcej dla ciebie nie napiszemy, jeżeli nam się zdawać nie będzie żeśmy w tobie znaleźli to czego pragniemy.

— Nie sławy! nie pieniędzy! Czegoż możesz chcieć innego odemnie?

— Serdecznego współczucia. Jeżeli nas polubisz, należymy do ciebie na całe życie.

— Także też jakiś dziwak!

— Et! słuchasz? Tak sobie gada.



## ROZDZIAŁ I.

### Pod lipą.

**B**yłoby to na wsi w Polsce, o mil parę od Radomia, w roku 1834 lub 1835, w piękny dzień wiosny.

Widać spory dwór drewniany niezgrabnej budowy, z załamany dwa razy dachem ogromnym. Trudno odgadnąć czy to było dla łatwiejszego ścieku, czy też dla dodania okazałości pańskiemu mieszkaniu. Za tym ostatnim domysłem przemawiała wystawka o trzech oknach w nim osadzona i na przód wydana, a wsparta na czterech pękatych kolumnach zwężonych u dołu i u góry, najgrubszych w środku. Widać, że się na nie budowniczy przeszłego wieku wysadził, (dom niemógł mieć mniej sześćdziesięciu lat) i że one były głównym przedmiotem jego upodobania. Żeby uczynić je tak grubemi, obił je starannie deszczkami w rodzaju klepek, gładzonymi i pokostowanemi, które niedotykały ukrytego pomiędzy nimi istotnego słupa, bo za uderzeniem wydawały silny odgłos, który dowodził że tam jest próżnia. Pan tego miejsca szturgając o nie laską, zwykł był sługi przyzywać. Między niemi a ścianą było ze trzy lub

cztery kroki przestrzeni, na którą się wstępowało z podwórza po kilku schodach, i to stanowiło przedsionek i główne wejście domu. Na lewo o kilkanaście kroków wznosił się drugi budynek, niski, wąski i długi, cokolwiek w ziemię zapadły; ktokolwiek zna Polskę, od pierwszego wejrzenia wiedział, że tam mieściły się kuchnia, mieszkanie sług niższego rzędu, a może w jakim uprzywilejowanym kątku pokoje gościnne, lub bezżennych dozorców gospodarstwa, wielkich ludzi na wsi, zastępców pańskiej powagi. Wszystko to razem wzięte, było brzydkie i niezgrabne, ale na prawo od domu o kroków czterdzieści, naprzód oficyny, stała odwieczna lipa; ale na pierwsze wejrzenie odgadłeś zaraz że tam jest bóstwo, które to wszystko natchnęło wdziękiem nie do wyrażenia. Widziałeś wszędzie ślady kobiecej ręki, kobiecego smaku. Przedsionek ozdobiony półkami na których donice kwiatowe, zgrabnemi ławeczkami i stolikami, krąg murawy przed domem jednostajnej zieloności jak kobierzec, droga do koła niego przed dom wiodąca, wysypana i grabiona zawsze świeżo, trochę dalej po za lipą klomby kwiatów, pod nią kształtne kanapki ogrodowe i różne oznaki częstego zasiedlenia tego miejsca, które widać że musiało przyciągać do siebie boginie i panie onego starego dworu, i być jakby stołecznym punktem życia Osin. Otóż tam zgromadzeni byli wszyscy jego mieszkańcy, w liczbie czterech osób, nad stolikiem zastawionym herbatą.

Głowa domu, pan Bojalski, człowiek lat czterdziestu, nosił na twarzy wyraz znużenia które trapi ludzi szukających zajęć sztucznych, dla zabicia czasu. Pa-

trzał się na drogę, czy nie dojrzy czasem jadącego jakiegos gościa, i myślał że gdyby choć jeden przyjechał, posławszy po proboszcza możnaby złożyć wista z dziadkiem.

Pani Bojalska, przystojna kobieta, brwi i oczu czarnych, cery śniadój, była także zadumana ale inaczej od męża, jakby trapiła niemilą myślą, jakby zbierająca siły na rozpoczęcie ważnej rozmowy, a z obawą, aby się mąż od niej nie wywinął. Pomysłała sobie, że lepiej by się to powiedziało nie w obecności córek, ale przynajmniej teraz jest chwila w której gości niema, pieniędzy nie odbiera, pasiansu nie ciągnie, niema pozorów wywinąć się i odejść, a może się uda że weźmie pod rozwagę. Ale po kobiecemu wykrętem długim szła do swego.

— Wiesz mężu że my się możemy tak urządzić, żebyśmy gości więcej przyjmowali i częściej zapraszali, bez wielkiego wydatku? — I tu zaczęła z wzorową dyplomacją dowodzić, ile się dadzą zmniejszyć koszta przyjmowania, a jak przyjemnie będzie mieć zawsze towarzystwo, partya wista, i wprowadzić to mniemanie, że Osiny są miejscem gdzie się czas przepędza przyjemniej jak gdziekolwiek.

Bojalski zajął się bardzo tą rozmową. Próżny, rad był zasłynąć z gościnności; próżniak, zabawiać się gośmi; oszczędny grosza, jak najtaniej te przyjemności kupić. Sam już zaczynał rozwijać różne zamysły, czas mu szedł prędko; trzeba było, żeby dzieci nie zanudziły się na wsi, żeby czasem tańcowały, a dwie panny

Bojalskie, rade takiemu usposobieniu rodziców, wtórowały im wesołóm swoim szczebiotaniem.

Czas téż o nich cokolwiek powiedzieć. Starsza, siedemnastu lat panna Róża, oczu niebieskich, przeciągłego spojrzenia, białości niezwykléj, mogła cokolwiek przypominać ojca; młodsza, Zosia, dopiero podrastająca, zaledwie lat piętnastu, a zupełnie jeszcze dziecinna, czarnooka, rysami podobna była do matki, ale przewyższała ją żywością i cały dom w ruch wprawiała swojemi pustotami.

Pani Bojalska jak wódz oględny, namyslała się czy nadeszła już chwila przypuszczenia głównego natarcia. Wreszcie odważyła się.

— Ale wiesz mężu, ja się boję jednéj rzeczy, któraby mogła nam wszystkie szyki pomięszać.

— Czego się boisz moja Jójmość, powiedz, daj mi sposobność cię uspokoić.

— Boję się czegoś takiego, coby mogło sprawić, że goście u nas nie postaną, że najpiękniejsza młodzież będzie nasz dom mijać.

— Moja Pani, z kąd ci takie brednie do głowy przychodzą? Czyż nie jesteśmy znani w obywatelstwie? czyż nie używamy pewnego poważania? Czyż...

— Nie brednie, mężu, ale prawdziwe niebezpieczeństwo, o którym zapewne niepomyślałaś.

— Powiedzże raz, cóż takiego?

— Żeby Moskałom nie zachciało się u nas bywać.

— O to także! przecież ich nie będziemy zapraszać.

— Wiem że nie będziemy zapraszać, ale jeżeli bez zaproszenia przyjadą?

— Cóż, jeżeli bez zaproszenia przyjadą, trudno ich za drzwi wyrzucić, albo kazać mówić że nas w domu niema. Przecież każdy to zrozumie.

— Prawda, że przed nosem nie można drzwi im zamknąć...

— Dla czego mamó? odezwie się Zosia, cóż nam mogą zrobić? Ojciec nie służył w wojsku, dla czego nie kazać powiedzieć jak w mieście, że nieprzyjmujemy?

— Kozak dziewczyna; dobrze Zosiu że nie jesteś chłopcem, bobyś matce i mnie narobiła biedy, jak te półgłówki, których pobrali do cytadelli.

— Oh, mój ojczu, nie mów tak o nich, odezwała się Zosia prawie ze łzami; tak ich męczą na torturach, głodzą, a nikogo nie chcą wydać, aż sami Moskale nad nimi ubolewają; dwóch wolało się zabić, bojąc się, że dłużej nie wytrzymają; o biedni,...

— Zosiu daj pokój, nieprzeszkadzaj nam mówić.

Zamilkła dziewczynka na przestrożę macierzyńską i nadała się tak pocieszenie z niecierpliwości, że całe towarzystwo jednogłośnie się roześmiało.

— Kiedy ojciec przy nas będzie na nich powstawał, odezwała się z przymileniem Róża, to my będziemy ich bronić.

— Patrzajno, i ty także, odezwał się pan Bojalski. No moje panny, możecie tylko przy nas takie rzeczy mówić kiedy nikogo innego niema, bo rodzicom narobicie biedy, a dziś tak szpiegują, tak o wszystkim donoszą... Otóż widzicie, za takie gadania dostały się do kozy te biedne dzieci.

Różia głową tylko wstrząsała na znak że nie, Zo-

sia gwałt sobie zadawała żeby milczeć. Pani Bojalska obawiała się odwrócenia w inną stronę rozmowy, sądząc męża szczególnie dobrze usposobionym.

— Trudno odprawić Moskali jeżeli do nas przyjadą, ale jeżeli się ich nie pozbędziemy, nikt do nas nie zajrzy, bojąc się ich spotkać. Dom nasz będzie jakby zapowietrzony.

— Moja Pani, na co robisz te wszystkie domysły; kiedy dotąd się nie pokazali, to zapewne już się nie pokażą. Parę razy był tu oficer za kupnem siana, za *kwitancyą z postoju*,<sup>(1)</sup> zabawił półgodziny, nie zatrzymywałem go, a jak skończył interes, odjechał z kąd przybył.

— Dotąd mężu byłeś sam jeden, myśmy powiększej części bawiły w Warszawie. Jak będziemy trzymać dom otwarty, jak zasłyszają o towarzystwach, o tańcach, o zabawach których są zgłodniali, będą próbować czy im się nie uda.

— Nie znasz ich dobrze, oni nie są tak bardzo śmieli.

— Żeby to byli oficerowie z jakiegoś tam pułku, jak ci których tu widziałeś, to nie mówię jeszcze, można ich się pozbyć łatwiej; ale zobaczysz że naczelnikowi wojennemu<sup>(2)</sup> z Radomia, generałowi którego żona bardzo się nudzi, i różnym innym zechce się u nas bywać, i że wszelkiemi sposobami będą się starać o znajomość naszą.

— Niedziwię się że się im tego zechce, ale cóż począć w takim razie, jakże sobie w dzisiejszych czasach naczelnika wojennego narazić?

— Jakżeż więc będzie?

— Jakże? kiedy jesteśmy w takim położeniu, że jesteśmy znaczniejsi, niepodobna nam się będzie wymówić od odwiedzin znakomitszych osób, ale resztę będziemy trzymać w respekcie.

— Więc będziemy przyjmować naczelnika wojennego i generała?

— Musimy, kiedy przyjadą. Chcesz żeby nas zgubili?

— A pamiętasz co to krzyku było na ciebie, żeś był parę lat temu sam jeden z obywateli na obiedzie składkowym dla przeszłego naczelnika wojennego?

Pan Bojalski zarumienił się i cały w ogniu stanął na to wspomnienie; córki z pewnością niedomyślały się jak dotkliwych przytyków doznawał długo z tego powodu, a nawet żona nie mogła wiedzieć aż do jakiego stopnia dochodziły obelżywe żarty, które musiał połknąć i strawić przy jakimkolwiek zetknięciu się ze szlachtą, przechodząc jakby przez różgi.

— Cóż tam, zawołał z prawdziwym gniewem, ludzie są zawsze niesprawiedliwi, nierozsądni i złośliwi; żeby nie wy, żeby nie obowiązki, w rewolucyi byłbym poszedł do krakusów, i terazbym żartował z Moskali. Coby mi znaczyło życie, cooby mi znaczył majątek, cooby mi znaczyło prześladowanie!

Pani Bojalska doskonale wiedziała że to nieprawda, że on tchórz i samolub, ale bała się, żeby córki tego się niedomyśliły. Zapewne Pan Bóg jój odpuścił że skłamała odpowiadając:

— Mężu, jesteś wzorem poświęcenia, ty nas tylko miałeś na celu, gdzieżbym ja o tém wąpiła! Ludzie nierozumieli dla czegoś tak czynił, ale dziś mężu nie trzeba dopuścić żeby nas powtórnie wzięli na cel obmowy. Masz dosyć rozumu i umiejętności życia, żeby Moskałom się nie narazić i niedopuścić, żeby swoi na nas krzyczeli.

— Rozumiem; cóż tak trudnego; każdemu się powie: Panie Piotrze, panie Janie, oto patrzaj co to za plaga ci Moskale, którzy nam nawet domowego pożytku nie zostawią spokojném; jak się ich tu pozbyć? Co za nieszczęście kiedy los kogo postawił więcej na widoku! Od nas znaczniejszych zaczynają.....

Obcy świadek ubawiłby się ze śmieszno uroczystego i zadowolonego głosu pana Bojalskiego, i z upodobania z którym wspomniał o mniemanej swojej znamienitości, bo istotnie chorowałby na pana, gdyby ta choroba nie była powściągnięta oszczędnością. Córki niewidziały, żona zawsze starała się pokrywać, a w téj chwili wyłącznie była zajęta doprowadzeniem swego planu, który zdawał się jój na dobrej drodze.

— Nie mężu, to nic niepomocze. Zaczną mówić: za wysokie progi, dom taki dla samych generałów i wielkich panów moskiewskich. Trzeba temu zapobiedz, żeby Moskale do nas nie zajrzeli.

— Kobieto co mówisz! Czy ci się w głowie przewróciło; czy chcesz nas wszystkich zgubić? Jakże zapobiedz, chyba afront umyślnie im wyrządzić i narazić się na ich zemstę?

— Masz dosyć rozumu na to, żeby wymyśleć sposób niepuścić ich do domu bez wydania otwartej wojny.

— To byłoby najlepiej; trzeba będzie szukać sposobu, kiedy do tego będzie przychodzić.

— Wtenczas już nie czas; już nawet słyszałam że sobie układają.....

— Gadaniny próżne.

— Nie można takich gadanin lekceważyć. Trzeba się na to przygotować.....

— Przygotować się, przygotować..... Łatwo powiedzieć. Jakże się przygotujesz?

— Jabym tak sądziła. Pomyśl czy dobrze. Tak bez żadnego przygotowania do nas nie wpadną, to oczywiste, ale będą się starać ciebie przywabić, choćby pod pozorem interesu, przyjmą po przyjacielsku, zatrzymają na obiad, na wieczór, wymogą obietnicę, że na drugi raz ich odwiedzisz; pospieszą zaraz z oddaniem wizyty u nas w Osinach, i tak coraz dalej. To już będzie źle wtenczas. Albo też pod jakim bądź pozorem do nas ktośkolwiek z nich przyjedzie i starać się będzie ułożyć jakąś sposobność wrócenia raz drugi. Byle tego dopuścić, natręctwo ich dokaże reszty.

— Cóż chcesz żebyś ja temu poradził?

— Trzeba nam się umówić jak sobie postąpić w każdym wypadku. W Radomiu trzeba ci unikać wszelkiego spotkania się z nimi a przynajmniej poufalej rozmowy, od zaprosin się wymówić, kiedy się o nas wypytywać będą, mówić że dzieci zajęte naukami, że towarzystwa dla nich nie pragniemy, odpowiadać nawet sucho, a jeżeli do nas kto przyjedzie, tu dopiero

trzeba będzie użyć całej sztuki. Dzieci się nie pokażą, powiemy, że chore.

— Ja się w łóżko położę, Józefowicz poszle po doktora, a mama i Zosia będą mnie pilnować. Ojciec często do mnie przychodzić będzie, zostawiając Moskala samego, ażeby się dobrze znudził i wyjechał.

— Nie, tego nie potrzeba. Owszem, niech się domyśla, że to jest udanie i że go do poufałego towarzystwa nie chcemy przypuszczać. Jeżeli już mnie koniecznie wypadnie się pokazać, przyjmować będziemy oboje gościa jak najgrzeczniej pozornie, ale tak zimno, żeby czuł się nie na miejscu swoim. Rozmowy nie będziemy utrzymywać, ale damy jój upadać, Moskal będzie gadał przez efronterę, będziemy słuchać jakby zmuszeni ale nie okażemy zajęcia, odpowiadać będziemy urywaniem słowami, a pewnie niezechce mu się wrócić; choćby wrócił, kiedy i drugi i trzeci raz tak samo będzie, da nam pokój nareszcie.

— Jakże chcesz, przecież oni nie tak głupi żeby nie zmiarkowali co to znaczy.

— Tego trzeba żeby zmiarkowali i poznali że nie ma sposobu z nami żyć, inaczéj nie będziemy mieli od nich pokoju. Skoro z nimi zachowamy największą grzeczność aż do przesady, nie będą mieli żadnego pozoru zaczepki do nas, a nawet wstyd im będzie się przyznać, że im nie powiódł się zamiar bywania.

— Nie wiem czy tak łatwo z niemi będzie; przy nich siła, władza czynienia wszystkiego co chcą.

— Choćby do nas przyjechali kilka razy, a tak zostali przyjęci, nikt nam tego za złe nie weźmie, owszem

będą wszyscy mówić: patrzaj jak się Bojalski nie daje, jak zbywa Moskali, choć tak znaczne osoby dobijały się o jego zażyłość. Wymieniać ciebie będą jako wzór w obywatelstwie.

Bojalski zamyslił się głęboko i poważnie kłęby dymu z fajki wypuszczał. Coś zbliżającego się do uśmiechu, wargi jego lekko zagięło. Przyjemnie rozmyślał, że on wiele znaczy, że może być przedmiotem zabiegów ważnych, i napawał się myślą wziętości obywatelskiej, poważania którego dozna od szlachty, rodzaju tryumfu, który go może spotkać. Jeżeli co mogło mu dodać trochę odwagi (wiele, niepodobna), to próżność. Prawdziwie, że ten przedsiönek o czterech kolumnach, lichemi a zarozumiałemi swojemi rozmiarami miał jakies podobienstwo do samego gospodarza, szczególnie w tej chwili.

— Dajmy na to, że ci panowie Radomscy będą źli na nas; ale prawdę mówiąc, cóż nam mogą uczynić? Za buntownika ciebie nie mogą podać, o żadne spiski nie mogą nas posądzić. A że tam pod jakimkolwiek pozorem egzekucye nam przyszlą<sup>(3)</sup> lub inne drobne dokuczliwości wyrządzą, cóż to nam znaczy? Czyż za to warto im ulegać? Owszem, wyraźniejszy będzie dowód dla wszystkich obywatelskiego twego postępowania.

Bojalski słuchał i ciągle rozmyślał. Jakżeby to pięknie było pozbyć się od razu przymówek, któremi od czasu do czasu jak szpilkami go kłuto, czyniąc wzmiankę o wrzecionach zajęcą skórą obszytych (otrzymał takie w r. 1831)<sup>(4)</sup>, lub o późniejszych drobnych postępkach, okazujących brak pojęcia własnej godności

w obec Moskali. Jakżeby pięknie było z dręczonego zostać uwielbianym! a nadewszystko małym kosztem odwagi i narażenia się. Rozmyślał, że to może być doskonała sposobność w swoim rodzaju, tak jak gdyby się trafiło wołu kupić za grosz.

Pani szanowała to milczenie dobrój wróżby.

Może pomyślisz czytelniku: „Co to za fałszywa kobieta, prostą drogą nie idąca, która podejściem chciała męża prowadzić; broń mnie Boże od takiej żony!“ Na to ci odpowiem: broń cię Boże od tego żebyś był do Bojalskiego podobny, tak, iżby nawet do uczciwych celów trzeba było cię prowadzić małemi pobudkami. Ale nie powstawaj na nieszczęśliwą matkę, która przed wszystkim myśli o przyszłości córek i wszelkich sposobów chwyta się, aby los ich nie został zagrodzonym. „Jakto, to nawet nie miała czystych pobudek, tylko samolubstwo macierzyńskie? To jój tylko szło o to, żeby Osiny nie były uważane za miejsce zapowietrzone którego unikać będą, to jest po prostu, żeby nie odstręczyć młodzieży pomiędzy którą mogli się znaleźć mężowie dla jój córek? Więc tylko dziewczęta w całym tym domu były niepokalane widokami ubocznemi, a może sama tylko Zosia?“ Na to wcale ci nie odpowiem, bo moją rzeczą jest kreslić obraz wierny, który pod twój sąd idzie, a twoją jeżeli cię to zajmuje, wyprowadzać wnioski i sądzić. Jedną tylko bardzo ogólną uwagę ci uczynię, że narodowy popęd jest tak silny, że tych nawet za sobą ciągnie radyeh nieradyeh, którzy mu się nie oddają całą duszą, z czystych pobudek.

Zosia już nie mogła wytrzymać tak długiego mil-

czenia, zbliżyła się nieznacznie do ojca, usadowiła się na jego kolanach, i zaczęła mu opowiadać.

— Mój drogi ojcze, téj zimy byliśmy obie z mamą na wieczorze niby to dziecinnym, gdzie dorosłe osoby doskonale także tańczyły u pani Skarzyńskiej. Było tam trochę pań i mężczyzn bywających w zamku i innych moskiewskich towarzystwach, i słyszałam sama jak panna Aniela Kowalska, córka radcy stanu, mówiła do Emilki Skarzyńskiej: mój Boże, jak wy jesteście szczęśliwe że się bawicie pomiędzy swojemi, tutaj aż miło tańczyć mazura bez żadnego Moskala. Wystaw sobie ojcze, bawimy się w najlepsze, a tu wchodzi cały świecący i okryty orderami pułkownik moskiewski Paszkow. Gospodyni domu tak się zmieszła, że nieumiała słowa wymówić. On zaś z najlepszą miną zaczął ję rozpowiadać, że pragnął oddać ję wizytę, bywszy ję prezentowanym już niewiem dobrze w czym domu. Proszę ojca z kąd data takiej śmiałości, zaraz prosto tak na bal przychodzić, bo on umyślnie tę porę wybrał, choć przeproszał, mówiąc że nie spodziewał się trafić na zabawę, ale prosił zaraz o pozwolenie zostania. Oh, żebym ja była na miejscu pani Skarzyńskiej, byłabym mu powiedziała, że trzeba było prosić o pozwolenie pierwój, a potém dopiero przychodzić. Młodzież nasza zaczęła się wypytywać, co się to znaczy i z kąd taki gość. Pani Skarzyńska tłumaczyła, że go nie zapraszała, tylko on sobie sam przyszedł. Jedni mówili, że kiedy tak, to go trzeba za drzwi wyprosić; inni, że mu potrzeba jakakolwiek niegrzeczność wyrządzić; inni znowu, że trzeba przestać tańców. Pani

Skarzyńska biedaczka, w wielkim strachu, prosiła wszystkich żeby dali pokój, i ledwie tego dokazała, ale kawalerowie zaczęli się nieznacznie wynosić, zostało tylko trzech czy czterech zamkowych<sup>(5)</sup>, kilku którzy tam mieli siostry i pan Gustaw, który chciał widzieć jak się to wszystko skończy, ale żeby się wymówić od tańca, udał że sobie nogę nadkreślił, i tak zabawnie kulał, że Różia musiała chustką twarz sobie zakrywać żeby nie widziano jak się śmieje. Powiadam ojcu, tak się włókł ten wieczór, że zdawało się że nigdy się nie skończy. Wszyscy choć tańcowali, ale umyślnie tak serio jak gdyby woskowe lalki. Moskał musiał doskonale poznać, ale udawał.....

— Patrzajcie, kozak jakiś jedzie. (Każdy kto na wsi mieszkał wie, że najmniejsza rzecz ściąga uwagę.)

— Pewnie drogą przejedzie dalej, na egzekucyę gdzieśkolwiek.

— Nie, zatrzymał się przed mieszkaniem Józefowicza, patrzy na tablicę z orłem,<sup>(6)</sup> zsiada z konia.

— Co to może być takiego? Pewnie jakaś psota panów obwodowych<sup>(7)</sup> szukających jakiejś zaczepki żeby się przypomnieć o przysłanie legominy. Héj, jest tam **który!**

Te ostatnie słowa głośno wykrzyknął, z przyciskiem na wyraz który, choć nie było komu kazać się przez to domyslać wielkiej mnogości sług. Było ich zaś dwóch wszystkiego, nielicząc chłopców kredensowych,<sup>(8)</sup> zawałanych i obdartych, którzyby się nie odważyli przybyć na takie zawołanie, nie będąc przypuszczonemi do pańskiego oblicza.

— Spiesznie przybiegł niewysoki, przystojny człowiek pojętnj twarzy, lat dwudziestu, ubrany w niezgrabnie skrojony surdut sieraczkowy z wielkimi po-  
zółkłemi herbowemi guzami.

— Piotrek ruszaj do pana zastępcy (°) i dowiedz się poco kozak tu przyjechał. Żywo!

Piotrek sobie nie dał powtórzyć. Puścił się jak z procy, jakby zadowolony rozkazem który mu dawał sposobność popisania się gimnastyczną zdolnością. Zamiast udać się drogą ku wrotom, biegł murawą w najprostszym kierunku do domku zastępcy wójta gminy, i tak gładko przesunął przez rów czterolokciowy odgraniczający dziedziniec, że prawie domysłać się nie było można że znajdowała się przeszkoda.

— Oto, moje panie, patrzcie jak Piotrek za nic ma wasze fossy. Przez dawne sztachety na podmurowaniu nie tak łatwoby się dostał.

— Gdyby dawne sztachety były tam jeszcze, nie widziałbyś ojciec z tego miejsca domku Józefowicza, ani czworniaku, tylko wierzchy czapek jadących drogą. Jakto zabawnie!

— Patrzcie, jak Rózia broni swego dzieła! Gdyby ojciec się zgodził, tybyś gotowa moje dziecko całe Osiny przewrócić.

— Oh, jeszcze mam różne zamysły. Czekam tylko sposobności, bo wiele jeszcze można upiększyć nieznaną robotą.

— Lubię sługi co tak duchem wykonywają rozkaz swego pana. Łepski chłopak ten Piotrek; patrzcie, już wraca. A co Piotrek?

— Pan Józefowicz zaraz sam do Jaśnie Pana przyjdzie. <sup>(10)</sup>

— A kozak po co przybył?

— Pan zastępca nic nie mówił, tylko kazał powiedzieć że sam przyjdzie.

— Trzeba uważać na rozkazy, które ci dają. Mówiłem ci wyraźnie żebyś spytał się po co kozak przyjechał; trzeba było mi przynieść odpowiedź, a nie wołać Józefowicza.

— Ja tak mówiłem jak mi Jaśnie Pan kazał; pan Józefowicz był jakiś namarszczony i coś pisał dla kozaka. Odpowiedział mi: wróc do pana, powiedz że sam przyjdę. Ja powiedziałem: niech pan zastępca mi powie, żebym Jaśnie Panu mógł powtórzyć; a on na to: już ci raz mówiłem że przyjdę sam, idź sobie ztąd. Cóż miałem więcej gadać? Jeżeli Jaśnie Pan każe, nie wielkie rzeczy wrócić się jeszcze.

Właśnie widać było kozaka siadającego na koń i odjeżdżającego, a Józefowicza ciągnącego ku dworowi.

## ROZDZIAŁ II.

---

**J**ak się masz Józefowicz, rzekł pan Bojalski z uroczystą powagą.

Józefowicz dość niezgrabny oddał ukłon szczególniejszego rodzaju, którego niepotrafiłbym opisać, a którym więcej słudzy wyższego rzędu, tak zwani oficjaliści<sup>(11)</sup> witają swoich chlebotawców. Jest w nim coś takiego co każe mimowolnie myśleć o składaniu hołdu.

— Z czém to kozak ten do ciebie przyjechał?

— Z tajemnemi ekspedycyami, Jaśnie Wielmożny Panie, odrzekł Józefowicz oglądając się czy sługi nie słyszą.

— Branka?

— Branka.

— Kogo u nas nazaczyli?

— Jeszcze nie zdążyłem przeczytać, miałem tylko czas pokwitować kozaka z oddania ekspedycyi.

Podał ją Bojalskiemu, który niecierpliwie zaczął czytać. Oczy wszystkich trzech kobiet z trwogą zwrócone były na mówiących. Pierwszy raz w ich obecności w domu odbywała się nieudana taka trage-

dya. Józefowicz chciał Bojalskiemu sam na sam o tém powiedzieć, żeby im oszczędzić téj wiadomości póki można było, z resztą także dla tego, żeby się wieść przedwcześnie nie rozeszła.

— Patrzajno Józefowicz, odezwał się Bojalski zatopiony dotąd w czytaniu nieszczęśliwego pisma, biorąc u nas czterech.

— Czterech! a to straszne rzeczy! trudno będzie się wykręcać.

— Józef Kowalczyk, Antoni Sawiś,...

— Obadwa z Woli Osińskiej, jeden z nich żonaty.

— Michał Dąbkowski...

— Ten, Panie, to gospodarz, ma żonę, dzieci, trzecia chałupa od karczmy. Jeżeli takich będą brać, to już nie wiem kogo zostawić.

— Piotr Żuk; a ten co za jeden?

— Piotr Żuk?..... niech Pan pozwoli przeczytać. Piotr Żuk?..... Ah, to Piotr.....

— Jaki Piotr?

— Piotr, sługa pański, którego Pan dopiero co po mnie posyłał.

— Piotrek, razem zawołały wszystkie kobiety! O biedny, niczego się niespodziewał!

— Niech Jaśnie Wielmożna Pani i Panny nie mówią tak głośno, boby kto z domowych usłyszał i dopiero mielibyśmy prawdziwy kłopot.

— Cóż Panu szkodzi, zapytała Zosia, Panie Józefowicz, choćby usłyszeli?

— Ah, proszę Pani, takby się porozbiegali, że nie możnaby żadnego dostawić.

— Na cóż ich koniecznie dostawić? Czemu nie mają uciec jeżeli im się uda?

Pytanie to było tak niespodziewane dla Józefowicza, że był zupełnie stropiony jakby winowajca i za chwilę dopiero zdobył się odpowiedzieć:

— Musimy ich dostawić bo jesteśmy za to odpowiedzialni, i przyplacilibyśmy osobami, Jasnie Wielmożny Pan najpierwszy, nie tylko osobą ale i majątkiem. Samo wydanie tajemnicy o brance pociąga srogą odpowiedzialność.

— To Pan będziesz ich brał i dostawiał?

— Muszę ich brać i dostawiać. O naznaczonej godzinie, w nocy, trzeba pójść wszystkich wziąć i nazajutrz pod strażą dostawić. Niema przeciw temu sposobu.

— Co to musi być za płacz i narzekanie!

— Pani sobie nie może wystawić co to się dzieje. Wolałbym nie wiem co, niżli przez to przechodzić. Często życie chcą sobie odbierać, aż siły potrzeba używać.

— Słuchajno Józefowicz! jeszcze nie mieliśmy tak wielkiego poboru.

— Dotąd najwięcej dwóch nam naznaczali, a Panu wiadomo że tylko jednego wzięli do Moskali z całej Osieńskiej gminy, bo innych wywinęliśmy. Ale co to teraz będzie, to niewiem. Pewnie że dwóch przynajmniej wezmą, a może uda się dwóch drugich ocalić.

— To jeszcze jest jakaś nadzieja dla nich? spytała Zosia.

— Rozumie się! Chyba takiemu panu zabraliby wszystkich coby się wcale już za nimi nie starał.

— Którzy myślisz Pan, że ocaleją?

— Tego nie wiem, to zależy od tego których Jaśnie Wielmożny Pan każe bronić.

— Ah ojcie, żeby to Piotrka można uwolnić!

— Jaśnie Wielmożny Panie, Dąbkowskiego pierwszego potrzeba ratować, bo ma żonę, dzieci, chłop pilny i pracowity, nie pijak, i bez niego opustoszałby grunt ciągły. Lokaja zawsze łatwiej sobie JW Pan dobierze, jak takiego gospodarza.

— Już to szkoda byłaby Piotrka, bo niełatwo znaleźć tak żwawego sługę jak on. Wszystko u niego w rękach się pali. Ale masz słuszość Józefowiczu, Dąbkowski zawsze ważniejszy.

— To rzecz JW. Pana postanowić kogo się będzie bronić....

— A żeby można wszystkich? Żeby się bardzo starać?

— Dziecko jesteś Zosiu, rzekł ojciec.

— O gdyby to był sposób, odezwał się do niéj Józefowicz!... ale choćby najwięcej zapłacić, to się tego niedokaże. Chciałem jeszcze JW. Panu przedstawić, że szkoda wielka Antoniego Sawicia. Trzyma prawda tylko ogród na dzień pańszczyzny i szesnaście dni daremszczyzny letniéj; zarazbyśmy drugiego znaleźli na jego miejsce, ale chłop bardzo posłuszny, pracowity i rządny, przychodzi powoli do bydła, możnaby go wkrótce osadzić na gruncie ciągłym, i pewnie byłby jednym z najlepszych gospodarzy; pół roku dopiero

jak się ożenił. Co Kowalczyk, to także dobry człowiek, utrzymuje matkę starą, nie pijak, ale już nie to co tamci. (12)

— To już widzę, że biednego Piotrka wezmą.

— Jeszcze nie można wiedzieć, trzeba najpierw, żeby JW. Pan zdecydował co się ma czynić, a potem wiele zależy także od różnych okoliczności. Piotrek nieżonaty to prawda, a takich zawsze prędzej biorą, ale mały, nie trzyma miary, może się zdarzyć że go zbrakują.

— Mój Józefowiczu, jutro o tém pogadamy obszerniej. Mamy jeszcze czas do namysłu. Na kiedy termin?

— Pojutrzejszej nocy, o wpół do pierwszej.

— To jeszcze jutro i pojutrze będą sobie wesoło chodzić i śpiewać i bawić się nie spodziewając się niczego, rzekła Różia.

— Tyle ich szczęścia że nie wiedzą, odezwał się filozoficznie Józefowicz.

— Oh mój ojcze, ja nie będę mogła się na nich patrzeć myśląc, że ich taki los czeka! Już lepiej byłoby, żebyśmy i my nie wiedziały.

— Możeby to lepiej było, ale kiedy już wiecie, to pamiętajcie dzieci trzymać język za zębami, żeby czasem przez garderobę (13) się to nie rozeszło.

Józefowicz skłonił się i odszedł. Rozmowa pomiędzy pozostałą rodziną zagasała. Bojalski czując ją wyczerpniętą a nie wiedząc co z sobą uczynić, poszedł oszukiwać swoje nudy łąjąc z kąta w kąt po gospodarstwie, wydając nic nie znaczące rozkazy i napomnienia, dla tego tylko, żeby mieć sposobność mówienia

do innych z góry, i napawania się wysokiem swoim stanowiskiem. Takiemi sposobami oszukują się ludzie uposledzeni, innego rodzaju nędzarze, którzy niczem niezdolni się zająć i życia swego zapełnić. Jakimże wielkim panem w porównaniu ich jest człowiek oddany jakiemukolwiek chociażby najskromniejszemu zatrudnieniu, byle prawdziwie działający!

Zbieraliśmy się iść za panem Bojalskim w tój wy-  
cieczce, ale boimy się mnożyć ustępów, a z resztą dosyć  
jeszcze mu się przypatrzemy.

### ROZDZIAŁ III.

**K**obiety zostały same pod lipą, a zmniejszone towarzystwo stało się więcej serdeczném. Bojalski wśród niego był jak fałszywa nótka: psuł strojność. Wieleż to najpiękniejszych rzeczy, któreby się przy nim nigdy nie wymówiły! Dziewczęta nasze nie zdawały sobie z tego sprawy, może nawet nie zastanowiły się nad tém nigdy, i to było wielkie szczęście dla nich. O wy dusze nadobne, prawdziwe aniołki pocieszycielki naszej niedoli i niewoli, wasza świętość i czystość byłyby na zawsze pokalanemi, gdybyście oczy umiały otworzyć na rodzicielskie błędy. Chroń was Boże na zawsze od tego zakazanego owocu wiadomości dobrego i złego.

— Róziu, gdybyśmy téż poszły do Janowej?  
(Ostrzegamy czytelnika że to matka Piotrka).

— Dobrze mówisz, pójdziemy.

— O wy prawdziwe dzieci, po co tam pójdziecie, co tam będziecie robić?

— Moja mamó, ona taka biedna będzie za parę dni!

— Cóż jęj poradzicie swojĄ bytnością? Ona o niczem niewie, gotowieście jeszcze coś powiedzieć takiego co ją w niespokojność wprowadzi, zmartwicie kobietę i pokażecie że nie przy was nie można mówić.

— Mybyśmy miały ją martwić! Nie mamó, nic nie powiemy niepotrzebnoę. Niechaj ma jeszcze parę dni spokoju.

— Niech matka będzie spokojna. Ja się podejmuję Zosi pilnować, rozumiesz Zosiu, jako starsza siostra!

I wymówiła te słowa z wyrazem krotofilnej powagi, która towarzystwo rozśmieszyła, ale takim powierzchownym tylko śmiechem, który zaraz znika. Czy wolno nam to wyznać? przypominała trochę ojca w tęg chwili, o ile żarcik lekki może mieć podobieństwa z przesadną karykaturą.

— Przez całą drogę będę jęj prawiła morały, mówiła dalej zachęcona powodzeniem. Z oka jęj nie spuszczę, a jeżeli zacznie mówić coś takiego co mi się niepodoba, zaraz będę zagadywać ażeby przerwać. Tak, tak. A jeżeli łezka będzie się chciała zakręcać w jęj oku, jak coś teraz się zdaje, ukolę zaraz tą dużą szpilką.

— Jabym wam niebroniła, moje dzieci, gdyby to było do czegokolwiek przydatne. Same się zastanówcie, że nic dobrego nie możecie zrobić, a mogłybyście popsuć. Dawności u Janowej nie były, nie macie zwyczaju do nięj chodzić, ztąd będzie zaraz wnioski różne czynić, jaka jest przyczyna waszych odwiedzin. Niepójdziecie.

— Moja mamó, właśnie dla tego żeśmy dawno

u niej nie były, niema nic dziwnego że pójdziemy, a co do znalezienia przyczyny, to najłatwiejsza rzecz. Poprosimy ją o parę rozsadeków stokroci, albo barwinku, na zapomogę do klombu, albo zapytamy czy niema suszonych zioł do apteki; a wie mama, że nawet prawdziwie trochę stokroci by się przydało. Prawda że późno teraz sadzić, ale na upartego można.

— Najdroższa matko, ja ci nieumiem wytłómaczyć dla czego, ale zdaje mi się że nasze odwiedziny przydadzą się na coś. Janowa domysli się później, dla czegośmy przychodziły, i to jęj sprawi ulgę. Moja mamó, to jedno że do niej z najlepszą chęcią przychodzimy, to samo już jęj pomoże, choć nie wiadomo jak.

— Zosia dobrze mówi, mamó. Kiedy zobaczymy Janowę, to nawet lepiej będziemy mogły ułożyć plan, który pójdzie potém pod mamine zatwierdzenie, jak pocieszać tę biedną kobietę kiedy już wszystko się odkryje.

Pani Bojalska niepozwalala. Rozprawa długo się ciągnęła. Jednakże dziewczęta wygrały i w godzinę spiesznym krokiem, zgrabniutkie jak dwie sarneczki, dążyły do Janowój, do Wólki Osińskiej, wioski należącej do dóbr pana Bojalskiego, o dziesięć minut drogi od dworu.

## ROZDZIAŁ IV.

### Janowa.

**T**rzeba, chociaż w kilku słowach, dać poznać Janowę. Wdowa ekonomy czy innego dygnitarza wiejskiego, była przez lat kilka po śmierci męża w służbie w Osinach, na przemiany za niankę dwóch panienek któreśmy poznali, i za szafarkę. Musimy powiedzieć że odznaczała się w pełnieniu tych obu obowiązków i same dobre wspomnienia zostawiła. Pielęgnowała dzieci jakby swoje własne, a obdarzona wielką mównością i czynnym charakterem, umiała zawsze czémścić je zabawić. Ustąpiła swego miejsca Francuzce. Zostawszy szafarką, miała dopiero pole odznaczenia się swojemi zdolnościami. Wszyscy słudzy stołownicy dworu Osińskiego lepiej byli żywieni jak kiedykolwiek, i dostawali zawsze jakieś przysmaki, owoc zabięglęj gospodarności pani Janowój. Wydatek zaś dworski był mniejszy niż przed nią i po niej, ale też nigdy krowy tyle nabiału niedawały, nigdy wieprze niebyły tak dobrze wytuczzone, nigdy kapusta tak pięknie nieobrodziła. Prawda także że na jój skinienie cała służba folwar-

czna była posłuszna. Jeżeli jój zabrakło jakiegokolwiek usługi, brała w rekwizycyą kogo tylko jój trzeba było. Nieraz zeszedli się znużeni na kolacyą, a pani Janowa zaprasza jeszcze wziąć się co żywo do wiader i pójść polać kapustę. Szmer się wznosi, mają niesłuchać. Pani Janowa wie dobrze że nie ma żadnego prawa za sobą, liczy tylko na swoją wymowę, tłumaczy że to im tylko zabierze kilka minut, a nadewszystko że ona także przysposobiła nadobowiązkowy przydatek do kolacyi, hrecuszki z cebulą, i osobno do nich śmietaną kwaśną, i wszczyna rozmowę o dalszych zamysłach na jutro i pojutrze, o jakiéjś polewce piwnéj na piątek, wymawia wszystkim jak się poświęca dla niewdzięczników którzy nawet posłuchać jój raz niechęcą. Porządek już przywrócony, pani Janowa króluje, a na kolacyi sama wybiera najpiękniejsze hrecuszki dla tego który się najwięcej odznaczył w noszeniu wody.

Wydawszy córkę za kowala, wyrobiła im miejsce w Wólce Osińskiej i przeniosła się do nich, aby zdolności swoich gospodarczych spróbować na własny rachunek, co jój się bardzo zaczęło powodzić. Wytuczala różne stworzenia, chodowała drób, jarzyny się u niéj rodziły bajecznie, i wszystko to umiała doskonale sprzedać w Radomiu, co sprowadzało dostatek do domu. Rządziła samowładnie zięciem i córką, ale to nie była władza narzucona, boby oni oplakiwali dzień w którymby umysliła ją złożyć. Ona także dobrymi radami prowadziła zięcia, w jego rzemiosle do tego przywiódła go, że miał zapas gotowych bryczek, wózków, i t. d., które korzystnie sprzedawał.

Pani Janowa miała starszego syna, który w roku 1831 wstąpił do wojska i z nié m razem wyszedł za granicę, z kąd pisał raz czy dwa do matki. Czy mamy jeszcze wymienić małą jéj słabość? Oto była pełna wyobrażeń arystokratycznych i ubolewała silnie nad tém, że jéj nazwisko nie kończyło się na **ski**. Byłaby chętnie oddała połowę swego mienia, aby być panią Żukowską, a nadewszystko żeby Piotrek nienazywał się po prostu Żukiem. Dla téj przyczyny starała się wprowadzić zwyczaj, aby ją zwano Janową, co jéj się doskonale udało, bo już Janową została na zawsze, póki Osiny Osinami.

Z daleka jakiś dzieciak domowy postrzegł zbliżanie się obu dziewcząt i uprzedził Janowę, która była całkiem zaprzątnięta soleniem szynek. Zerwała się ze zwykłą ruchawością, dała szybko kilka rozporządzeń córce i służce, porwała naprędce przechodząc jedwabny fartuch do wielkich wydarzeń służący i przepasała nim grubą swoją osobę, a ledwie parę kroków za drzwiami postąpiła, już spotkała Rózię i Zosię.

— Ah witam drogich gości, moje najmilsze panienki! Patrzajcie jak was Burek zawsze poznaje, chociażżeście tak wyrosły; pocziwe stare psisko.

— Przyszliśmy na chwilę odwiedzić naszą dobrą Janowę, zobaczyć jak się ma i co porabia.

— Bogu dzięki nieźle wszystko idzie, wnuczęta chowają się doskonale i rosną, ale też dobrze karmię, tyle daję ile zechcą, a jeszcze proszę żeby jadły. W domu także nienajgorzej, zawsze jest coś do sprzedania, i niczego nie braknie. Zbierałam się w tych dniach do

dworu, bo układam sobie ważne zamysły. Jakże rada jestem że was dziś widzę! Wasze przybycie uważam za dobrą wróżbę, bo zawsze mi coś szczęśliwego się zdarzyło po każdym waszych odwiedzinach. Co panna Zofia tak blednie? czy nie słaba czasem?

— To nie moja Janowa, nieuważaj na to.

— Parę razy dziś jęć się to zdarzyło, bez żadnej przyczyny.

Janowa wstrząsnęła głową poważnie, na znak że jęć się to wcale niepodoba.

— Żeby mnie was choć na półroku oddali, takbym was wypielegnowała, odkarmiła, żeby was nikt nie poznał. Zosia przynajmniej na parę cali by urosła. Dziś zły zwyczaj żeby panny mało jadły, i dla tego to wszystko słabe, że aż żal patrzeć. Oto naprzykład panny Machnickie z Polanowa, do czego to podobne, suche jak szczypty i blade jak cienie. Niesłuchajcie co wam Francuzki gadają. U nich tam może być inne jakieś powietrze, ale tu trzeba jeść. Jedzcie dobrze do czego macie ochotę, nie żałujcie sobie, nie bójcie się żebyście nadto utyły, bo od przybytku głowa nie boli. Choć i tak wam niczego, wypiękniejecie jeszcze kiedy wam policzki poczerwienieją i wypełnią się jak pyzy. Nie uśmiechajcie się moje panny, bo stara Janowa dobrze mówi. Ale czémże was tu poczęstować?...

Skracamy trochę. Janowa póty się kręciła i domowników swoich ganiała, to do komory, to do spiżarni, to do piwnicy, to za jadłem, to za stołem, to za obrusem, póki nie ujrzała obu dziewcząt siedzących przy stole obciążonym różnemi przystawkami, stano-

więciami prawdziwy zbytek w skromnym stanie Janowej, lecz na które grosza się niewydało, bo wszystkie domorodne. Było to na dworze przed domem, o małych okienkach, zapadniętym w ziemię, który Janowa znajdowała niegodnym przyjęcia tak dostojnych gości.

— Panno Rozalio, może tych makagigów, albo śliwek na różenkach, albo sera jabłkowego; gruszki suszone nie tak dobre, ale powidel życzę skosztować. Te są prawdziwe wiśniowe, a te śliwkowe. Panna Zofia kilka lat temu lubiła powidla ze śmietaną.

— Dziękuję ci moja Janowa, niemogę jeść, jesteśmy tylko co po herbacie i najadłam się wiele różnych rzeczy.

— Co też panna Zofia mówi, albo to ja niewiem jak się dziś panny najadają? Kroplę śmietanki wpuuszczą do herbaty, że wygląda na coś brudnego, okruszynę sucharka zjedzą, i mówią że się najadły . . . . .

— Oto widzicie moje panienki jest Bogu dzięki wszystkiego w domu, jak w niejednym dworze się niezawsze znaleźć. Zięcia postawiłam na nogach, wszystko co się zarabiało to szło na zapomogę dla niego, żeby miał z czego roboty kończyć bez zamówienia. Dziś już są zapaśni we wszystko, weszli w to że zarabiają dobrze i mogą sobie dać rady bezemnie.

— Daj Boże moja Janowa jak najdłużej wam cieszyć się tém szczęściem.

— Daj Boże moja panienko, i daj mi Boże jeszcze jednego szczęścia którego pragnę.

— To wam jeszcze niedosyc?

— Kiedyz człowiekowi dosyc?

Gdyby Janowa nie była tak zajęta tém co chciała mówić, dostrzegłaby wymienione spojrzenie przez obie siostry, które mogło ją zastanowić.

— Otoż widzicie moje panienki, dodała ciszej obejrawszy się z ostrożnością czy kogo niema w bliskości, ja bardzo kocham i córkę, i zięcia, i wnuki, .... ale ....

— Co mówicie Janowa, czyżby....

— Oh nie panienki moje, nie myślcie złych rzeczy, oni wszyscy dla mnie najlepsi, szanują i słuchają, ale ja kocham jeszcze więcej Piotrka.

Dziewczęta ścisnęły się za ręce, i Różia czuła jak ręka Zosi drżała.

— Niechciałam tego nigdy pokazać żeby zazdrości niebyło między rodzeństwem i żeby Piotrka nie popsuć, ale jego wolę od wszystkich; ja bym chciała jego ożenić żeby przy nim mieszkać.

Ręce dziewcząt ciągle się trzymały i były jakby przewodnikiem myśli ich niespokojnych.

— Od Józefa odebrałam rok temu list z zagranicy, pisał że się ożenił i że mu się dobrze wiedzie. Bogu dzięki niech będą, ale tego to już nie zobaczę; wnuki będą dla mnie jak obce, może nawet po polsku nie będą mówić. Teraz przy córce jestem niepotrzebna, mogą się obejść bezemnie. Chcę się zająć Piotrkim. Chciałam iść do pana, poradzić się go i prosić za Piotrkim, ale nieśmiem bo niemam dosyć u niego zaślugi.

— Dla czegoż moja Janowa? Przecież wszyscy cię poważają.

— Nie o tém mowa, ale zaślug niemam w domu

państwa. Wszystkiego cztery lata służyłam, i to jeszcze żeby to ciągle przy panienkach, ale zaraz mi odebrali żeby oddać téj Francuzicy. Chciałabym Piotrka wykierować, ale najpierw ze wszystkiego chciałabym go ożenić, żeby był zupełnie wolny od wojska, które mnie zawsze trochę niepokoi<sup>(14)</sup>. Otoż dla tego zbierałam się pójść do pana, żeby go się spytać, czy utrzyma u siebie Piotrka jeżeli się ożeni, i uprosić żeby się postarał o jakieś uwolnienie od popisu, bo skończył dwadzieścia lat i już czas o tém myśleć.

Janowa była zdziwiona mileżeniem swoich słuchaczek, tém bardziej że sobie wyobrażała że ten przedmiot powinien wszystkich zajmować tyle ile ją samą, i do mówienia pobudzać.

— Nie idzie mi wcale o jakieś szczególne korzyści dla Piotrka. Bogu dzięki, mam o czém przyjsć mu w pomoc. Główna rzecz żeby pan dał mu mieszkanie dosyć duże żebym przy nich mogła mieszkać.

— To już masz Janowa dla niego żonę? spytała się śmielsza Rózia, zmuszając się do mówienia.

— Mam śliczną dziewczynę, rumianą, tłusciutką jak pączek, ale on o tém nie niewie.

— I nie spytacie się pierwój czy mu się podoba?

— Ja mego dziecka nie chcę ożenić tak jak chłopci, którym wszystko jedno czy tę czy owę brać za żonę. Już sobie to wszystko ułożyłam. Ona za parę dni tu do mnie przyjedzie z matką; jeżeli będę uważać że się Piotrkowi podoba, to z nim pogadam, a jeżeli nie, to da się pokój i nikt wiedzieć niebędzie że był taki za-

miar. Panno Zofio, ale też nie niejadłaś; może trochę miodu?

— Dziękuję ci Janowa, mam dosyć; widziałam że jadła śliwki i serek. Oto jeszcze wezmę trochę orzechów, które będę jadła wracając do domu.

I garść ich wzięła do kieszeni fartuszka, jedynie dla tego żeby przyjemność sprawić gospodyni.

— Już kończy się czas który nam był pozwolony. Musimy cię pożegnać.

Wstały dziewczęta, odbyła się jeszcze scena ukłonów kowalowej i kowala, który robotę swoją porzucił i przybiegł, całowania rąk dziewczeczek przez wszystkie ich dzieci, i t. d. Kto był na wsi w Polsce wie to dobrze, a kto nie był potrzebowałby za długiego opisu, a dziś niestety mogą się znaleźć tacy, którzy nietylko na wsi, ale nawet nigdy w swoim kraju niebyli!

Po odbyciu całego tego żegnalnego obrzędu, dziewczęta ścisnęły ręce wyprowadzającej ich Janowej, jeszcze serdeczniej niż zwykle.

— Moja pocziwa Janowo, pamiętaj że my ciebie zawsze z serca kochamy.

— Bądź pewna, że w każdym razie co tylko można będzie dla ciebie uczynimy.

Uderzyły Janowę dźwięk głosu i wzruszenie z którym to było powiedziane. Rozumiała przeczuciem że w tém jest coś serdecznie życzliwego, ale sobie niezdawała sprawy do czego by się to mogło stosować. Po odejściu panienek dopiero zaczęła nad ich słowami rozmyślać jak gdyby kto jój klina w głowę zabił: „Musiały mieć coś na myśli, a nie przypadkowo powiedzieć, ale

co? Oto ślad. Tak życzliwe, a milezały jakby trochę pomieszane, kiedy mówiłam że chcę prosić o mieszkanie dla Piotrka. Jestem w domu. Rozumiem. Pan Bojalski nie chce sług żonatyh, żeby nie dawać ordynaryi i mieszkań. Musiał o tém głośno mówić, one słyszały ale niewypadało przedemną powtórzyć, a dla tego były zmieszane i niewiedziały co mówić. Ale mniejsza o to, niewarto waszego zabiegu moje poczciwe panienki. Znajdę zawsze dla Piotrka i dla siebie niegorszego pana jak Bojalski. Was mnie tylko szkoda miłe dzieci. Niema o co się frasować.“

O sto mil jak widzimy była od prawdy. Roila sobie najpiękniejsze zamysły i wesołą była nad samą przepaścią. I wzięła się z nowém zajęciem do roboty którą odwiedziny przerwały. Ta kobieta przynajmniej nie kłopotowała się nad użyciem czasu, bo ani jednej chwili nie wytrzymała w bezczynności.

Dziewczęta wracały jeszcze smutniej niż przybyły.

— Biedna Janowa!

— Wiesz, trzeba żebyśmy potem zaraz do niej się udały ażeby ją pocieszać i czynić ję trochę nadziei.

— Pójdziemy Zosiu, ale z nadzieją ostrożnie.

— Dla czego? wszak jeszcze nie wszystko stracone?

— Ojciec nic nie mówił. Słyszałaś Józefowicza, on za tamtymi.

— Róziu, my będziemy ojca prosić za Piotrkim.

— Czy usłucha?

— My tak będziemy prosić! Powiemy o Janowój.

— Patrzaj Zosiu, Józefowicz idzie.

— Zawołajmy go. Sprobujmy z nim gadać.

Józefowicz uklonił się niezgrabnie i szedł razem z dziewczętami, które zwolniły kroku, może dla zyskania więcej czasu, może mimowolnie z powodu ważności rozmowy którą chciały napoczynąć.

— Panie Józefowicz, czy Pan bywasz czasem u Janowej?

— Nie Pani. Nie mam na to czasu. Przeszłego roku byłem na Wielkanoc.

— Szkoda. Gdybyś Pan ją widział i słyszał jak ona kocha Piotrka, gdybyś pomyślał jaka rozpacz jęć będzie, byłbyś Pan za nim obstawał!

Co to jest w tém za tajemnik, że w zetknięciu się z istotą szlachetną, człowiek każdy inną postać przybiera? Tenże sam Józefowicz, który przed Bojalskim wyglądał na istotę płasko służebną, nabrał wyrazu godności i odpowiadał jak człowiek człowiekowi? Z pewnością doznawał silnego wpływu szlachetnych uczuć tych dzieci, i niewiedząc może o tém, głęboko je pokochał w téj chwili, choć się pozornie spierał z niemi.

— Panie były u Janowej, i niedziwię się że się rozczulają nad nią, ale tamci mają tak samo matki które ich płakać będą.

Prawda Panie Józefowicz! daruj, ah jakież to smutne położenie, wybierać pomiędzy jednymi a drugimi!

## ROZDZIAŁ V.

### Wnętrze dworu Osin. — Wieczór samotny Pana Bojalskiego.

**N**ie wstąpiliśmy jeszcze do wnętrza dworu. Sień która dotykała krużganku o czterech pękatych kolumnach, rozdzielała cały dom na stronę kobiet i stronę mężczyzn. Ta ostatnia odznaczała się szczególnie panowaniem fajki, kart i głośnych rozmów kiedy goście przybyli.

Sień spora i widna, była przedzielona przepierzeniem wysokości człowieka. Wolne miejsce, które pomiędzy niem a sufitem zostawało, służyło do udzielenia słabego i wątpliwego światła i cokolwiek powietrza odgradzonej części, w której mieścił się kredens. Zawsze słychać było brzęk talerzy lub nożów i łyżek, albo rozmowy służby. Drzwi do niego nie trzeba uchylać, bo zdaje się, że co mogło być najbrudniejszego w całym domu, tam zostało zmiecione do kupy. Ogień prawie nieustanny na kominku w każdej porze roku, dla gotowania wody na tysiączne potrzeby domowe, czynił temperaturę nieznośną. W tak ciasnym miejscu

ciągle było przynajmniej trzy lub cztery osób; tam odbywało się mycie naczyń z resztkami obiadu a często odgrzewanie lub gotowanie przez służbę dla siebie czegokolwiek; tam często sypiano, kominek nieraz zadymił, a z braku zupełnego okien niepodobna było odmieniać powietrza. Lokaje dla ulepszenia trochę zapachu, używali niebardzo szczęśliwego sposobu wypalenia tam codziennie ukradkiem kilku fajek prostego tytoniu, co bardzo surowie zakazane bywało przez pana Bojałskiego. Często się drzwi otwierały, wyjrzała przez nie twarz osmolona jakiegoś kredensowego chłopaka, w odzieniu płócienném, koloru bez nazwiska, nabytego przez różne sposoby walania i plamienia, cofnęła się zwykle nazad, jeżeli ujrzała kogo z gości. Śień która stała się podługowatą przez odcięcie wspomnianej dopiero części, przystrojona była dwoma drewnianymi kanapami bez obicia, biało pomalowanemi, które się otwierały i stanowiły dwa łóżka. Na prawo od wejścia pokój bawialny, od którego zaczynała się strona kobiet; na lewo pokój jadalny, niemały, o trzech oknach, a za nim pokój narożny, samego gospodarza, mający z jednej strony drzwi do jadalnego pokoju, z drugiej strony do niewielkiej izdebki zwanéj kancelaryą, w której dawał posłuchanie urzędowe z powagą teatralnego króla. Stół podługowaty na środku, zieloném suknem pokryty, z dwóch stron stołki, a przy węższym boku duże krzesło, zdaje się nie tak bardzo wygodne, ale oznaczające miejsce samego pana. Szafa jedna zamknięta, druga mająca półki w kratki do składania papierów, i zawieszzone nad każdym przedziałem napisy

ogromnemi literami: *Raporta z folwarku Osin. Raporta z folwarku Przybysławice. Raporta z folwarku Józefów. Rachunki wyszynku wódki w dobrach Osin z przyległościami i t. d.* Pan Bojalski cieszył się bardzo tém, że ten pokój był z powierzchowności swojej podobny do biura rządowego i dla tego użył przed laty kilkoma, jeszcze przed rewolucją, stolarza z Radomia, który mu porobił dopiero wspomniane meble, mocne a niezgrabne, czarno pomalowane, zupełnie takie same jak te które dostarczał do komisji wojewódzkiej. Owa kancelarya miała oddzielne wyjście przez wązką sionkę na ganek w samym środku ściany szczytowej, ozdobiony prostemi tylko ławami, przeznaczonemi dla czekających na posłuchanie. Gdyby jaki włościanin przyszedł do głównych drzwi, *pod kolumnadą*, jak mawiał Bojalski, i tam chciał czekać na pana, zostałby przez służbę mającą takie zlecenie odesłany do kancelaryi, a gdyby jego samego tam napotkał i ośmielił się do niego przemówić, zostałby ofuknięty: „coż to nie wiesz, że z interesami trzeba przychodzić do kancelaryi i tam czekać swojej kolei, a nie tu mnie napastować.“ Jeżeli służący przyszedł mu oznajmić przybycie jakiego oficyalisty, otrzymywał zwykle odpowiedź: „niech zaczeka na mnie w kancelaryi.“

Kobiece towarzystwo Osin, po wszystkich przejściach któreśmy opisywali, niemogło tego dnia zdawać się Bojalskiemu zabawném. Dla tego też wcześniej niż zwykle udał się do tego swojego narożnego pokoju, spojrzął na zegarek: ósma, spać zawczasie, a co tu robić? Licho nadało, że nietylko nikt nie

przyjechał, ale jeszcze ta branka tak powarzyła domowych, że dogadać się z niemi niczego nie można. Sięgnął ręką za taśmę od dzwonka wiszącą nad łóżkiem; niebawnie wszedł Piotrek.

Biedny chłopak, pomyślał sobie w duszy, ani się spodziewał! Szkoda go! Bo pan Bojalski, czytelniku, nie był wcale zły człowiek, nie był obojętny na nie-szczęście bliźniego, litował się nad niem szczerze, a ty bywasz często zbyt skory do sądzenia źle o tych, których ci przedstawiają. Prawda, że pana Bojalskiego więcej dotykała własna nuda której doznawał w tej chwili, ale czyż nie wolno jest najpierw pomyśleć o sobie?

Pan Bojalski miał czas, nie wiedział co z nim czynić i dla tego zaczął się oddawać popędom serca. Żałował dopiero Piotrka i to uczucie naprowadziło go na myśli patryotyczne. O, jakże Polska jest biedna, że taki haracz krwi ludzkiej Moskale z niej wybierają! Chcą wypłenić ją zabranie najdorodniejszych ludzi! Tak myślał i szczerze myślał, bo on nie był złym patryotą, on chciał ojczyznę widzieć szczęśliwą. Gdyby to od niego zależało, Polska byłaby wolną, wielką!... Ale myślał sobie roztropnie: cóż z tego przyjdzie ojczyźnie, jeżeli ja zginę? A ty czytelniku, ostro sędzio, gotoweś na karb złego myślenia kłaść uczucie zachowania siebie.

Przerwał jego dumanie powtórne zapytanie Piotrka: co Jaśnie Pan każe?

— Poczekaj trochę.

I zaczął sobie ważyć: czyby nie posłać po pro-

boszcza? otobym jemu rozpowiadał co mi do głowy przychodzi. On dobry Polak, jak o tém tylko wszezać rozmowę to już i końca nie ma; przepędzimy wieczorek. Dobra myśl, ale lepiej zachować na drugi raz, dziś trochę zapóźno. Była także w tém mądra rachuba. Szkoda zużyć tak dobrego pomysłu na resztkę wieczora, kiedy o nim można będzie innego dnia cały wieczór przepędzić.

Piotrek stał ciągle. Wreszcie pan Bojalski odezwał się swoim wiecznie uroczystym głosem:

— Rozbierz mnie.

Piotrek zabrał się zaraz do téj roboty, tylko cośmy nie powiedzieli, do tego obrzędu, tak się to odbywało poważnie. Przecież taka osoba jak dziedzic Osin, nie mogła się ubierać i rozbierać tak jak prosty człowiek. Skądżeby nawet się tego nauczył? Zawsze był sługa który to czynił, tak że mógł zapomnieć o użytku własnych rąk.

Piotrek zdjął z niego surdut, kamizelkę, i złożył starannie na stołku; odpiął mu szelki, w czasie czego pan raczył sam zdejmować chustkę, do czego mu nigdy nikt nie pomagał. Potém usiadł, nogę jedną trochę wyciągnął, drugą podniósł do góry, a Piotrek nachylił się żeby z niej but ściągnąć, nogę własną przyłożywszy do pańskiej będącej na ziemi, dla dania jój punktu oparcia, ażeby czasem samego pana ze stołka nie ściągnąć. Jeszcze więcej się przychylił, żeby zdjąć z niego spodnie, które złożył starannie na tym samym stołku, na którym już był surdut.

— Szkarpetki! odezwał się Bojalski; poczem wy-

ciągał nogi jedną po drugiej, ażeby je Piotrek zdejmował.

— Pantofle! Piotrek wdział mu je czémprędziej na nogi.

— Szlafrok! Piotrek natychmiast go podał, to jest rozłożył i wdział na każdą rękę pańską.

Piotrek wyszedł wynosząc pańską odzież, ale wrócił niebawnie przynosząc karafkę z wodą świeżą i szklankę na tacy, które postawił na stoliku obok łóżka podług przyjętego już zwyczaju. Przez ten czas Bojalski chodził po swoim pokoju jakby głęboko zajęty. Gdyby go widziały Różia i Zosia, pomyślałyby: pocziwiy ojciec! frasuje się branką, szuka sposobów ocalenia biednych ludzi! Ale nie tak było; myślał jak zabić resztę wieczora. Przyszło mu do głowy: dawno też nie czytałem; i otworzył piękną nowomodnej warszawskiej roboty szafkę, w której za szkłem okazywały się różne książki starannie oprawne. Przebiegał oczami, ażeby uczynić wybór, wziął wreszcie jedną i położył na stoliku. Ale cóż tam, cały wieczór będę tylko czytał, pomyślał sobie.

— Piotrek rozłóż stolik, postaw karty i daj drugą świecę.

Natychmiast wykonane zostało i bez zdziwienia ze strony Piotrka, jak rzecz która się nie pierwszy raz wydarzała. Otworzył się stolik z zieloném suknem, dwie talie kart pomiędzy dwoma zapalonymi świecami postawione zostały, i piękne wygodne krzesło na kółkach przed niego zatoczone.

— Czy Jaśnie Pan ma jeszcze co do rozkazania?

— Nie, możesz już odejść.

Zostawszy sam, zaczął się trochę przechadzać. Niebardzo mu było pilno do kart i do książki, jak do przyjemności o których wiedział że mu nie ujdą. Przypatrywał się swemu pokojowi po raz setny, tyśiączny, i rad był z tego przeglądu. Nikt w okolicy, pomyślał, tak pięknie, tak okazale nie mieszka, a do tego jeszcze taki wygodny rozkład. Tu zaraz mam pod ręką kancelaryą jakiej podobnej nikt nie ma, każdego *interesanta* (15) mogę przyjąć przystojnie, niepotrzebując przez okno prowadzić rozmowy, ani wpuszczać do własnego mieszkania chłopca i byle kogo zawałanego który ślady na posadzce zostawi i zapachem kożucha lub stajni zapowietrzy pokój! Bo też niekażdemu dane jest umieć się urządzić. Zdjął świecę ze stołu, poszedł do kancelaryi. Może chciał przejrzeć jakie papiery? Nie. Chciał tylko rzucić okiem na wywieszone nadpisy różnych *raportów* i różnych rejestrów *dóbr Osin z przyległościami*, i na tém poprzestawszy wrócił. Nienowe to były dla niego myśli, ale często je powtarzał, jak ulubiony pasians, w braku czego lepszego, w chwilach samotności. Tak samo nędzarz głód swój oszukuje żując różne nieposilne strawy.

Niedosyc, prawil sam dalej do siebie, że z jednej strony mam kancelaryą i moje oddzielne wyjście, ale jeszcze z drugiej mam jadalną *salę*, w której mogę także przyjmować oddzielnie tych, których nie chcę zaprosić ani do salonu, (16) ani do własnego pokoju. Musimy wyznać że gdyby przeznaczenie kazało

nam być wiejskim szlachcicem, chcielibyśmy także, nie przez pychę, pokój własny uczynić nieprzystępnym i radzibyśmy mieć taki jak pana Bojalskiego. W powierzchności małobyśmy go zmienili, tyłkobyśmy go pewnie inaczej używali. Nie udało mu się go zezpecić, choć nie miał wcale dobrego smaku. Łóżko stało w rogu pod ścianami okrytymi sutą turecką makatą, zapewne z pod Wiednia (17). Biurko zdawało się dopiero co wychodzić z rąk stolarza, tak było świeże i świecające. Widać po niém że nie było często używane. Papier, potrzeby różne do pisania i graciki biurkowe systematycznie były porozkładane, jak na pokaz, nie zaś do istotnego użytku. Wyborne krzesło wolterowskie które przed niém stało, było za niskie dla piszącego, i z resztą wcale do tego użytku nieprzydatne, bo bez wysilenia niepodobna było inaczej na niém siedzieć jak pół leżący. Za to stolik kartowy, rówiecznik biurka, dopieroco przez Piotrka rozłożony nosił ślady częstego używania. Za nim wyborna dwuosobowa kanapka, nad którą zawieszona była makata mniejsza ale jeszcze bogatsza od téj która przy łóżku, a przy niéj zawieszona dubeltówka wybornego gatunku i różne sztuki należące do broni i myślistwa. Znać tam było wiele miejsc osieroconych (18). Czy pan Bojalski był zapalony myśliwy? Gdzie tam, ale chciał mieć broń piękną. Jeszcze mniej był literatem, a chciał mieć *piękne* książki, któremi napełnione były dwie ładne szafy za szkłem, umyślnie dla tego za szkłem, aby widać przez nie było ozdobną oprawę i nadpisy w różne arabeski. Mówią, że po większej części nabył je przy-

padkowie, zwabiony ich wartością introligatorską i pięknym złoceniem. Może być żałował, że niektórych nie można na półkach odwracać pozłotą, ale trzeba wierzchem. Resztę pokoju zajmował piec kaflowy z owych pięknych starodawnych, sprowadzanych z Gdańska *dubasami* (10), i kominek nad którym zwierciadło w ścianie nieruchome. Obok kominka tak zwana fajczarnia, w której stał rząd cały fajek nałożonych już tytuniem, i gdzie także było dla pokazu parę ogromnych bursztynów niewygodnych do użycia. Dodajmy do tego, że z łóżka spadał suty dywan a co więcej gustowny (nie sam go kupował), że posadzka bardzo prosta sosnowa i dębowa była czysta i szczelna, że ściany, Bogu dzięki białe, doskonale odbijały się przy makatach, że sprzęty stolarskie starannie wykończone, były widocznie jednostajnego pochodzenia i nie mogły być cząstkowie skupowane, a zrozumiemy łatwo że cały ten pokój był przyjemnym, i czynił, zwłaszcza na wsi, wrażenie wykwintnego bez wielkiego zbytku męzkiego mieszkania. Widać jednak było od razu, że tak jak pan jego obliczone było tylko na pokaz, że w jego myśli nie było rzeczą własnej przyjemności i potrzeby, ale tylko oprawą, ramką, w którejby on mógł sobą samym lepiej zaświecić.

Kiedy już raz weszliśmy w opis mieszkania, powiemy jeszcze przy sposobności o pokoju jadalnym, który jak zwykle we dworach szlacheckich miał wielki stół na środku i mnóstwo stołków. Że zaś w Osinach był dosyć obszerny, stała prócz tego w nim kanapa a przed nią stolik do kart. I ten pokój nosił ślady

porządku, który w ogólności cechował dwór Osiński z wyjątkiem kredensu, który czytelnik dosyć już poznał. Sprzęty stolarskie zgrabne i staranne, podłoga prosta sosnowa, ale tak gładka, że możnaby ją wziąć za posadzkę. Firanki zawieszane ozdobnie, mówiły że sami mężczyźni nie mogli tego domu zamieszkiwać. Ale niestety ten pokój nosił ślady nadto wyraźne złego smaku samego Bojalskiego. Znalazłszy się sam jeden w domu, i nie będąc powściąganym w swoich pomysłach zdaniem kobiet, kazał go pomalować w ogromne pasy od góry do dołu, na przemiany ciemno pomarańczowe i jasno błękitne, a nad tém wszystkiém dał szlak ponad samym sufitem w którym przemagały barwy pąsowa i jasno zielona, a znajdowały się także potrosze wszystkie siedm na które promień słońca daje się rozłożyć.

Ale wróćmy się do biednego Bojalskiego samotnego. Spojrzał na zegarek: wskazywał sześć minut na ósmą. Zyskał tylko tyle na czasie a raczej tyle tylko go stracił, lecz jego czasu nie szkoda, obchodzi się z nim nie jak ze skarbem, ale jak z nieprzyjacielem. Zegarek zaczął nakręcać; i to coś. Przycisnął sprężynę; wierny genewski repetier uderzył ośm razy. Westchnął. Miał ochotę go posunąć, ale położył. Trochę żywszy człowiek niemogący się wydrzeć z tej nędzy, byłby wybiegł na podwórze, byłby biegł cotchu dokądkolwiek, lub wyskoczył na pierwszego lepszego konia, czwając gdzie oczy poniosą, aby się przynajmniej otrzeźwić niebezpieczeństwem skręcenia karku. Ileż jest ludzi którzy tak czynią! Ileż to postępków jest

niepojętą zagadką dla tych, którzy nie wiedzą o tój trawiącej chorobie. Ileż ludzi na to umiera, jakby na suchoty duchowe!! Lecz bądźmy o Bojalskiego spokojni, on nie zemrze, owszem z wiekiem coraz dalej brzuch jego będzie się rozprzestrzeniał, on wytrzyma i przecierpi, zbawi go wist i preferans, nadymanie i puszenie się na wsi, i mnóstwo podobnych drobiazgów. Ale coś nadto zbaczamy.

Położył zegarek. Fajczarnia w oczy mu popadła. Myśl doskonała. Bierze fajkę, sięga ręką po taśmę dzwonkową, ażeby mu ognia do fajki podano. Wstrzymuje się jednak filozoficzną uwagą. Po co wołać służącego? Jaki to śmieszny w Polsce przesąd, że się nigdy bez lokaja obejść niemożemy do najprostszej rzeczy? No, już co do mnie, to sobie tego nie mogę zarzucić. Myślał tak w najlepszej wierze, pisarzowi powieści na słowo wypada wierzyć. Idzie pan Bojalski z fajką do świecy. Nie, — napruszę tytuniu. Kładzie fajkę, idzie do biurka, dobiera nożyczki, wycina krążek papieru, i na środku małą dziurkę. Antoni Próźniakiewicz, wielki zuch (wprawdzie tylko w słowach) i doskonały chłopiec, nauczył go tego sposobu. Jeżeli znajdziesz się czytelniku utrudzonym brakiem służki do zapalenia fajki, radzimy spróbować i ręczymy za skutek. Położył krążek na fajce, tak aby dziurka była nad samym jej środkiem, zakręcił papier jakby chciał ją obwinąć, zapalił u świecy, odwrócił ją do kominka aby popiołem podłogi nie zapruszyć, dym pociągnął parę razy, i cała powierzchnia fajki od razu ogniem się zajęła, co sprawiło mu pewne zadowolenie.

Ale już zapalił. Pali, chodzi — a dalej co? Ah, jest pasians, można palić i ciągnąć. Mięsza obie talie, tasuje i zawzięcie, wypatruje kart, zdaje się cheiwie. Czy przesądny? — Czy może mniemaa, że los jego leży w tych kartach? — Czy co zamyslił? — Nie, ale nędzarz, nędzarz! Nie składa mu się szczęśliwie, albo nadto łatwo wychodzi, albo też nie wychodzi weale. Rzuca karty. Piotrek jutro sprzątnie. Wraca do nich. Dla czego by nie złożyć? Cóż jest z resztą lepszego do roboty. Składa. Zegarek wskazuje dwadzieścia trzy minut na dziewiątą.

Zrzuca szlafrok. Będzie czytał w łózk. Otwiera książkę. Czy ją czyta? Nie. Może nawet ją trzyma na wywrot. Ogląda, postrzega, że zakurzona. Jak to gospodarz powinien do wszystkiego zajrzeć! Któs z gości gotów mieć ochotę czytać; co pomyśli, znalazłszy książki w takim stanie? Prawda, że z pół roku nie były przewietrzane, lecz trudno o wszystkiém pamiętać. Uderzył nią parę razy i obtarł. Już się miał do łózka położyć aby się oddać czytaniu, ale raptem się zastanowił i zamyslił. Poszedł do biurka, otworzył jakąś szufladkę i w niej jakąś skrytkę, wydobyl małe narzędzie do zakładania na świecę, które ją gasi samo kiedy się do pewnego miejsca dopali. Założył na jedną świecę, tak aby się mogła palić mniej więcej godzinę; drugą zagasił. Do pasiansu trzeba było dwóch, do czytania dosyć będzie jednéj.

Położył się do łózka i zaczął czytać. Co? — Tego nie wiemy, widzieliśmy tylko, że to było piękne *in*

*octavo minori* w safian oprawne ze złoconemi brzegami. Dla tego zaś niedochodziliśmy tego, żeśmy widzieli, żeśmy w duszy jego dostrzegli przez nasze powieściopisarskie szkiełko, że on sam tego ani się domyślał. Jak długo czytał tego także nie wiemy, bo już więcej nie patrzył na zegarek. Książka mu się z rąk wysunęła i spadła na dywan. Szczypczyki bezpieczeństwa doskonale swoją powinność odbyły, i bez chyby zagaściły świecę, szczelnie knot przytrzymawszy.

## ROZDZIAŁ VI.

### Ocknięcie się pana Bojalskiego.

Słońce już doskonale świeciło, kiedy pan Bojalski oczy otworzył. Prawda że w tej porze wczesnie wschodził. Przeciągnął ręce, ziewnął trzy czy cztery razy coraz innym głosem jakby początek gamy z góry na dół; spojrzął na zegarek: wpół do piątej. — Coś teraz nie wiele sypiam, powiedział sam do siebie. (Jednak to było blisko a może całe ośm godzin snu). Czas piękny Bogu dzięki, ale nie mam po co wstawać. Może jeszcze zasną. — I przewrócił się na drugi bok. Nie udało się. Po kilku minutach sięgnął po taśmę od dzwonka i targnął nią parę razy. Wszedł Tomasz, drugi służący któregośmy jeszcze nie widzieli, nie zupełnie ubrany, bez chustki na szyi, z niewyczesanemi włosami. Widać że siedział w kredensie nie znajdując potrzeby wdziwania wierzchniej odzieży, bez której małego był porządniejszy od chłopaków kredensowych, a czémprędzej włożył surdut aby stanąć na zawołanie pańskie. — Daj mi umyć i ubrać się.

— Zaraz Jaśnie Panie.

Wróciwszy do kredensu targnął mocno chłopaka, który chrapał w kącie na ziemi, skurezony na czémścié płócienném, w czém było trochę siana, a co mogło kiedyś być workiem od zboża. Widząc że on nie może prędko ocknąć się z silnego dziecinnego snu, targnął go powtórnie krzycząc na niego: Wstawajże śpiochu ty jakiś! Co żywo na nogi, i duchem buty pańskie wychędoź!

Jakie dziwne wyrażenie, *daj umyć się*; ale przypomnij sobie czytelniku, że obejrzelismy do najmniejszych drobiazgów pokój Bojalskiego, a nie było tam nic podobnego do gotowalni, albo do stolika do umywania się, nie było nigdzie miednicy, wody, i t. p. Tomasz wszedł powtórnie, trzymał w jednej ręce stołek drewniany prosty, na którym mydło, gąbka, szczotki i t. d., w drugiej miednicę srebrną i w niej kubek po-  
złacany; pod pachą miał zwiniętą ceratę. Niosąc to wszystko dokazywał takiej sztuki jak posługacze traktierni ludnych, którzy chodzą z rękami okrytymi talerzami od łokciów począwszy. Widać było wprawę jego szczególnie w otwieraniu i zamykaniu drzwi, do czego w prawdzie część swego ładunku musiał na ziemię składać. Rozpostarł na posadzce ceratę, na środku jęj postawił stołek, i poukładał na nim starannie wszystkie drobiazgi i kubek napełniony wodą; samą zaś miednicę trzymał brudnemi swojemi rękoma. Bardzoby potrzebował żeby jemu także ktoś *dał umyć się*, jeżeli w Osinach nie można inaczej użyć wody.

Pan Bojalski wdział pantofle, Tomasz nąchylił się

ostrożnie, i żeby mu oszczędzić trudu sięgnięcia po gąbkę, wziął ją sam i podał mu ją w brudnej ręce. Pan Bojalski zaczął umywać się, nad tą podstawą szczególniejszego rodzaju... Stójmy! Dla czego szczególniejszą? Wszystko jest względne. Pan Bojalski nie pojąłby jakby to było inaczej i na co szukać innych sposobów, kiedy jest służący co daleko wygodniej, bo nie trzeba się nachylać, tak wysoko trzymać jak potrzeba, wyżej do mycia twarzy, niżżej do rąk.

Widzieliśmy już wczoraj, że pan Bojalski był skłonny czasem w samotności do czynienia niektórych uwag, mających za wypadek, że sam sobą i swoją doskonałością się cieszył; zdawało mu się, że filozofuje. „Jak to dobrze, że mnie *tak* rodzice wychowali, że mi nie dali *gnuśnych* nawyknień. Oto naprzykład Ospałowski, doskonały z resztą chłopiec, który w łóżku każe sobie *podawać do umywania się*, i nie wstanie z niego pierwej, aż kawę wypije i parę fajek wypali! Jaki mieli rozum, że mnie od dzieciństwa uczynili tak dbałym o czystość, że bez niej żyć nie mogę!“ Właśnie wtenczas zawzięcie szczotką od palców ręce swoje czesał i wycierał najmniejsze zakątki paznokciów. Zapewne dla tego niezwracał uwagi na bieliznę niebiałą i całą osobę Tomasza, którego prawie się dotykał. Prawda, że mu się zdawało niepodobieństwem używać innej miednicy jak srebrną, innego kubka jak srebrny wyłaczany. Na dosyć szerokim jój brzegu, z jednej strony był wyrobiony wypukło herb rodziny Bojalskich, z drugiej cyfra J. B. (na imię miał Józef), a do koła różne karby, liście i t. p., które mogły do-

wodzić sztuki rzemieślnika, ale dawały schronienie nieczystościom, które stanowiły różne czarne rysy jakby napisane na srebrze, a najgrubsze z nich były na samym wyobrażeniu klejnotu szlachectwa. Rzecz prosta, bo cały przyrząd ochędostwa, wyjąwszy chwilę w której pojawiał się w pokoju jak dopiero widzieliśmy, spoczywał zawsze w owym kredensie już wiadomym, gdzie zapewne chłopakom poruczone było przez lokai utrzymywanie go w czystości.

Tomasz wyniósł wszystko takim samym sposobem jak przyniósł, i zaraz wrócił przynosząc odzież.

— Buty!

Tomasz je podawał jeden po drugim, pozakładawszy w uszka kruczki do wciągania, które podał w ręce Bojalskiego, sam zaś trzymał but koło obcasa, jak gdyby chciał dopomódz do włożenia go.

— Ubiorę się później. Daj szlafrok.

*Daj, równoznaczne włoż na mnie.* Odbyło się to tak samo jak wczoraj. Zapewniamy także czytelnika, że pan Bojalski później sam się nie ubrał, ale zawołał „któregokolwiek“ ażeby „go ubrał.“

— Daj czapeczkę.

Tomasz podał czapeczkę okrągłą kobiecój roboty włóczkowej, niespodziankę imienin od córek, barw amarantowój z białym, którą Bojalski włożył na głowę na bakier, spojrział na siebie w zwierciadle i uśmiechnął się. Gdybyś go widział czytelniku, uczyniłbyś to samo, lecz z innych pobudek.

— Czy tu Jaśnie Pan każe podać kawę? (Już dawno chłopak został z kredensu wyprawiony do klu-

cznicy z oznajmieniem że pan się obudził, co znaczyło, że kawę trzeba przysposobić).

— Dasz mi ją pod *kolumnadą*.

Wyraz ten podkreślamy chcąc tym sposobem ostrzedz, że z pewnym przyciskiem i upodobaniem go wymawiał.

Wyszedł pan Bojalski drzwiami przez kancelaryą. Dzień dla niego niestraszny, zwłaszcza kiedy pogodny. Można chodzić, można *zajmować się* gospodarstwem. Przyjdą córki powiedzieć dzień dobry, będą szczebiotać, w ostatnim razie można zawołać jakiegokolwiek oficjalistę, zadawać mu pytania bez końca, albo przyganiać wszystkiemu co czyni, co ma nawet inną dobrą stronę, bo może się przydać podbudzając gorliwość i obawę. Chodził sobie po ogrodzie, koło lipy, bez celu, nie dla spaceru, bo wieśniak go nie potrzebuje, ale trzeba coś czynić czekając na śniadanie.

## ROZDZIAŁ VII.

### Różne rozumowania, oraz objaśnienie pana Bojalskiego.

**W** wielkim jesteśmy strachu czytelniku przed tobą, bośmy słyszeli że chcesz zawsze wszystko wiedzieć, a niecierpliwisz się na szczegóły; wstręt zaś masz wyraźny od wszystkiego co zarywa na rozprawę. A znowu bez szczegółów jak tobie przedstawić wszystko jasno, jak tego żądasz? Tyleśmy już o Bojalskim gadali, a czujemy żeśmy nie wszystko powiedzieli. Jeżeli zaczęłaś zajmować się nim trochę, co daj Boże, pewnie jesteś ciekawy wiedzieć jak gospodarz z rzemiosła może uczuć brak zatrudnienia, albo też jeżeli się nie umie zająć, jak nie upadnie zaraz na mieniu i nie wyjdzie o kiju z wioski. Przepraszamy pana Bojalskiego dziezdica kilku wiosek, chcieliśmy powiedzieć z *dóbr*. Lękamy ci się to pokazać w samych obrazach i w opisie jego żywota, boby nam nie starczyło czasu i papieru na wydarzenia do których chcemy przystąpić. Otóż pokrótce powiemy ci nasze zdanie o panu Bojalskim

pod względami których dotąd nie dotknęliśmy, i dodamy ci suchą treść jego przeszłości. Jeżeli boisz się żeby to nie zarywało na rozprawę, przeskocz wszystko co następuje i zacznij na nowo od następnego rozdziału. Nam jednak zdaje się że to potrzebne.

— Do czego potrzebne jeżeli nie ma bawić?

— Ej czytelniku, dotknąłeś do żywego. Czyż powołaniem nas pisarzy jest bawić?

— A może nudzić? Spróbuj a zobaczysz jak umiem zamknąć książkę i w kął rzucić.

— Władzy twojej niezaprzeczam. Jest nieograniczona, ale ta myśl niepowinna nas obłąkać. Nie jesteśmy skoczkami ani sztukmistrzami, żeby ci się pochlebiać i ciebie bawić.

— Fanaberya! A cóż jest twojém powołaniem?

— Uczyć.

— Uczyć? dla czego więc nie piszesz filozofii, albo geografii i t. p., ale powieści?

— Bo moja nauka w powieściach.

— To trochę za wiele, to może chcesz dawać naukę moralną, i za każdym rozdziałem zamieścić *sens moralny* jak w bajkach. To dopiero byłoby zabawne! Pokaż się przynajmniej uczciwym, powiedz od razu, żebym oszczędził sobie dalszego czytania.

— Bądź spokojny. Nauka moralna za wysoką jest na powieści. Balibyśmy się poniewierać ją mówiąc o niej przy sposobności jakichś wydarzeń, i zarazem naszą rzecz poniewierać nakręcając ją do uło-

żonego moralu, co nawet byłoby bezskuteczne bo jest niepodobne. (\*)

— To przecież zaczyna być rozsądném. I ty nieżartem mówiłeś że masz naukę prawdziwą na celu? Ja myślałem że ty malujesz dla przyjemności mojej.

— Naukę prawdziwą i poważną.

— Nazwijże ją nareszcie, tylko krótko, bo dosyć tego sporu.

— Jedném słowem: *Nauka serca ludzkiego.*

Skończyliśmy z tobą rozprawę. Nawet niebylibysmy jej wszczynali, gdybyśmy się niezapomnieli żeśmy w przedmowie może i zanadto wiele o rzeczach tego rodzaju mówili. Teraz po upartemu przystępujemy, za twojém pozwoleniem, lub od biedy i bez niego, do mówienia tego wszystkiego co się nam zachciało. Jednak wolno ci się wtrącać.

Dla czego Bojalski był próżnym, to jest pokazem siebie zajęty więcej jeszcze jak samym sobą? — Cóż to za pytanie sobie zadajemy; a dla czego wół przżuwa trawę, dla czego paw napierza swój ogon, dla czego wilk krwi łaknie, i mięsem żyje? Potrzeba albo poprzestać na tém, że tak jest bo tak jest, albo téż dla takich pytań wejść w najgłębsze tajniki utworu człowieczego i przyrody. My tak daleko nie śmiemy i nie chcemy się zapuszczać, daj Boże byle natracić ślad jakibądź.

(\*) Nie przez moral można poniewierać, ale przez niepodobne nakręcanie.

— Dla tego, odpowiadamy, że był próżnym...

— Piękna odpowiedź. Dla tego masło, że maślane.

— Nie, my wcale nieżartujemy. Dla tego że w nim nic nie było...

— Wiadomo, że to w czém nic niema jest próżne, i na odwrót.

— Dla tego ty nās nie pojmujesz i my nie umiemy się wysłowić, że nieporozumieliśmy się nad wyrazem *próżny* w moralném znaczeniu, nad ogromną rozległością jego w naszej mowie. Ież to znaczeń w nim rozmaitych, które się wyjaśniają wzajemnie.

— Bardzo dobrze czynią. Ale ty się cokolwiek zaciemniasz.

— Próżność, a zmysłowie próżnia (pozwól nam używać tego ostatniego wyrazu odtąd) czyli niedostatek, ubóstwo, pustki. Nie to ogół rozumie kiedy mówi niepomyślawszy o tém: *człowiek próżny* czyli nadęty. Niezwraca swojej uwagi na to, że nie jest nim ani przez nałóg, ani przez złe skłonności wrodzone, ale przez ubóstwo, ale dla tego że jest w nim próżnia. Chcesz niedopuszczyć próżności, chcesz z niej wyleczyć kogo, nie masz na to innego środka jak próżnię jego serca lub umysłu zapełnić, jak ubóstwo jego usunąć. Uczyn tylko ażeby ten człowiek serdecznie zamiłował cokolwiek, aby gorąco czegokolwiek zachciał, aby prawdziwy cel życia sobie obrał, to go zapełnisz, już próżni w nim nie będzie. Następnie, nie będzie w nim próżności, skoro próżnia zniknie, jak skutek ustaje wraz z przyczyną.

Zbierzmy treściwie te wyobrażenia.

*Próżność* nie jest przyczyną.

Próżność jest skutkiem, a raczej jest jednym ze skutków *próżni* czyli niedostatku, czczości, ubóstwa, i t. d. Próżnia ta jest chorobą straszną umysłów, jest plagą Bożą większą jak głód i powietrze, bo te same skutki na umysł sprowadza co tamte na ciało. O *próżności* gadać, obraz jęj pokazywać, jest powierzchowną. Chcąc być gruntownym, *trzeba schodzić aż do próżni*, która jest przyczyną.

Wiemy zkąd rodzi się *próżność*, zobaczmy jak. *Oto zapelnianiem tęj próżni samym sobą, czyli nadymaniem się.* Krótko a węzłowato opisany tu wywód *próżności*, a pochlebiamy sobie, że dostatecznie. Człowiek niestawałby się *próżnym* z ubogiego, z czczego, gdyby się nie nadymał, a nadymać się, jestto się zapelniać samym sobą. Czy rozumiesz czytelniku?

— Mości nauczycielu, dla czego od razu nie mówiłeś, że *próżność* czyli *nadętość* jest skutkiem *próżni*, czczości, ubóstwa, pustek. . . . . Po co mówiłeś: *próżny* bo *próżny*.

— Cała wina, że przymiotnik *próżny* odnosi się i do *próżni*, i do *próżności*, ale nieżałujmy tego, bo wyraz tęp doskonalszy, że zarazem obejmuje przyczynę nieodzowną i skutek jęj niechybny.

— A z tego jak się wykręcisz mości nauczycielu, żeś mówił, że Bojalski pokazem siebie był zajęty, nie samym sobą. Zdaje się, że to w sprzeczności oczywistęj będzie z tęp, że *zapelniał się sobą samym*.

— Mylisz się. Zapelnil się sobą samym, zgoda, ale oczywiście nie dla siebie, bo jużci nikt nadymając

się nie ma na celu samego siebie, to jest prawdziwego *ja*, ale tylko pokaz samego siebie, to jest nieprawdziwego *ja*, ale sąd innych o nim.

— Niebardzo rozumiem, ale wolę przystać bo się takich subtelności boję, a nadewszystko niby niemieckich rozpraw o prawdziwym i o fałszywym *ja*. Mam tu jeszcze ciężkie pytanie ci zadać. To będzie sęk o który się zahaczysz.

Czy pewnie próżność czyli nadętość jest skutkiem próżni? Czy czasem nie bywa przyczyną? Czy nie bywa często, że człowiek niezdolny jest dzielić szlachetnych uczuć, powziąć cel życia i t. p., dla tego że próżny? Inaczej mówiąc, czy próżność nie czyni go niezdolnym do zapelnienia godnie próżni?

— Rozumie się że tak bywa....

— Złapanys mości nauczycielu. Dopieroco próżnia była przyczyną próżności, teraz próżność jest przyczyną próżni. Masło bo maślane, a maślane bo z masła, i tak w kółko.

— Mylisz się czytelniku, przyczyna pierwotna zawsze jest jedna. *Nie byłoby na ziemi nikogo próżnego, to jest nadętego i dążącego do pokazu w czémkolwiek, gdyby nie czczość i ubóstwo duchowe.* Jeżeli to weźmiesz za wskazówkę do poznawania ludzi, pewnie się nie omylisz. Teraz czczość i ubóstwo duchowe, owa straszna słabość, stają się niewyleczoną chorobą skoro wyrodzą się w nadętość. Mylnie więc niewyleczoną chorobę mienisz być przyczyną, bo jest następstwem i ostatnim stopniem upadku który już niedopuszcza ozdrowienia.

— Nigdy?

— Nigdy jest wielki wyraz. Kiedy człowiek go wyrzeka, zawsze popełnia zuchwalstwo. Nie mówimy: nigdy,.... bywają cuda..... Może ich dokazać chrześcijańska pokora, a może téż iskra elektryczna szlachetnego silnego popędu, który jak potok rwie wszystko czego się dotknie..... i coraz rośnie.....

— Ale teraz my znowu powiemy ci że dosyć o tém i zamykamy ten punkt rozprawy.

Strach rozwlekać się, a coś podobno zapominamy bardzo o Bojalskim. Weźmiemy rzeczy trochę zdaleka. Ojciec naszego Bojalskiego był synem założyciela drewnianego dworu o czterech pękatyh kolumnach, i wyrosł na obraz i podobieństwo swojego rodzica; sam zaś starał się oddać swemu jedynakowi, naszemu panu Józefowi, także w swoim gruncie wychowanie jakie odebrał, chociaż w powierzchowności przystrojone różnemi ozdobami, których nowsze czasy wymagały. Jako się odbija w dalszych pokoleniach co wszczępióném zostało przez wychowanie! Prawdziwie że nic nie ginie w świecie umysłowym. Każdy czyn odradza się w swoich następstwach. Tylko cośmy nie powiedzieli, że jest w nich nieśmiertelny!.....

Dziad żyjącego dziedzica Osin przeżył się w swoim wnuku, którego nigdy nie widział, i w swoim drewnianym dworze. Tutaj się przerywa pasmo rodowego życia przedostatnich Bojalskich, bo niedosyć że brakło męskiego potomka, ale zupełnie nowy żywioł wkroczył do niego po kądzieli i opanował kierunek przyszłości!..

Ale do rzeczy. Nasz Józef Bojalski urodził się

w Osinach i hodowany był na przyszłego ich pana. Pierwsze słowo które nauczył się rozumieć, było: *panicz*. Dziecku kłaniano się z uszanowaniem; podrostkowi czapkowano, ekonom nachylał się kłaniając mu się do kolan, ksiądz proboszcz nawet wstawał ze stołka oddając mu poważny ukłon, a często prosił o wstawienie się do rodziców kiedy chciał co u nich wyprosić, a co gorsza, środek ten bywał skutecznym i wbił mu w głowę myśl własnego znaczenia. Po rodzicach, on był najwięcej uważanym w całym domu; po nim dopiero nauczyciel jego albo dozorca. To była zasada jego wychowania prawdziwego, na które się wszyscy składali, począwszy od rodziców aż do ostatniego mieszkańca dóbr Osin z przyległościami, i to go czyniło podobnym do ojca i dziada, chociaż ten ostatni chodził w kontuszu i żupanie i słowa nie umiał po francusku.

Co do powierzchownego wychowania, uczono go języka francuskiego, który naówczas był w modzie, tańcowania, fechtowania, i t. p. rzeczy które mogły go uczynić przyjemniejszym w towarzystwie. Na co go do szkół było oddawać? Na co zbytnie obciążać naukami niepotrzebnymi? Wszak los jego był zapewniony. Dostyć jemu *umieć się pokazać między ludźmi*, to cel nauk, a rzeczą doświadczenia i wprawy praktycznej uczynić go dobrym gospodarzem. Trzymano go w Warszawie, wprowadzano do towarzystw ile można było najwyższych, gdzie pewien pokost parafianstwa czynił go cokolwiek śmiesznym, czego się do końca dni swoich nigdy nie domyśli, ale gdzie nabrał pewnej ufności w siebie. Zasiedziawszy się na wsi do której

był stworzony, przyjął za przykładem ojcowskim za poezyę życia, pożycie obywatelskie, to jest bywanie u innych, a nadewszystko przyjmowanie gości. Wszystko co w nim mogło się znaleźć podobnego do poświęcenia bezinteresownego dla obcych, do miłości bliźniego, zużyło się na gościnność, która (trzeba wszystko powiedzieć) składała się zarazem i z pierwiastku serdecznego polskiego który tak nieszczęśliwie zdrobniał, i z żądzdy pokazu.

Dziedzicu Osin, gdzie się to przerwało dawne podanie rodu Bojalskich, u których kiedyś pożyciem obywatelskiem, ich poezyą życia, była działalność dla dobra kraju?... Nie idzie nam tu o dzieje twego domu, ale domyślamy się że musiała wkroczyć do niego samolubna lęklivość, która się jój wyrzekła skoro przybyło niebezpieczeństwo. Ale to jeszcze było przed tobą, a ty należysz do rzędu tych usposobień które się dają kształtować jak glina, i tém zostają czém je uczyniono, a nie samorodnego nie mają ani się rozbudzą na widok szlachetnych przykładów.

Pan Bojalski od młodych lat wtajemniczany przez ojca do sztuki rządzenia majątkiem, znał każdy zagon i każdy krzaczek swoich dóbr, i nawyknieniem wdrożył się doskonale w gospodarstwo. Gnuśny na umyśle chociaż dosyć rzezki na ciełe, nie lubił i nie umiał się zatrudniać, a może być że w innym majątku nie byłby w stanie dać sobie rady, ale tu wszystko szło już jakoś samo z siebie, nowości się nie wprowadzały, chyba ostrożnie bardzo i po trosze. Ludzie sami wszystko czynili, a dziedzic bawił się tylko słuchaniem sprawo-

zdań lub dawaniem rozporządzeń bez którychby się obeszło. Oglądał często różne szczegóły, ale nie tyle dla istotnej potrzeby, jak dla tego żeby starano się dobrze czynić z obawy oka pańskiego, a często z nudów, lub też dla mówienia rozkazodawczo i bawienia się swoją powagą. Czy pan Bojalski był więc nieprzydatnym do niczego? Pytanie trochę drażliwe. To jest rzeczą pewną że nic osobiście nie zapracował, ale ani zdrożności ani zaniedbania znaczne przy nim nie mogły mieć miejsca. Gdzie zaś szło o wpływ grosza lub jego wydanie, tam się już na nikogo nie zdawał. Sam zatrudniał się sprzedażami i wszelkimi układami pieniężnymi, wypłatami ważniejszymi ludziom, n. p. przy żniwie, i t. p. Człowiek przedsiębiorczy pewnieby z Osin dwa razy tyle dochodu wyciągnął, a możeby zniszczył się nieroztropnemi wkładami. On zaś z pewnością nic nie wymyślił, ale umiał bardzo dobrze przechować, bo każdorocznie odkładał na stronę, to kilka, to kilkanaście tysięcy, któremi powiększał swój zasób, bardzo znaczny, bo mógłby drugi majątek taki jak Osiny kupić, co nawet nieraz zamyslał, niemogąc nigdy przyjść do stanowczego postanowienia. Zdaje się że niezręcznie i niezabawnie opowiedzieliśmy jakim był gospodarzem, ale przynajmniej krótko. Może być że się lepiej uda innym razem. Zdawało nam się zaś, że obraz człowieka nie wyda się zupełnym, jeżeli nie pokazać jakim jest w wykonywaniu swego rzemiosła, a znowu baliśmy się stać się nadto rozwlekłemi malując wszystkie czynności wiejskiego szlachcica.

Pan Bojalski młodo się ożenił jeszcze za życia



ojca, bo trzeba się żenić. Wziął panienkę niebogatą, któraby za niego była nigdy nie poszła, gdyby nie było losem znacznym dla niej zostać dziedziczką Osin, i gdyby nie miała rodziców którzy bardzo byli za tym związkiem. Nie kochał się w niej, ale nie byłby jęj wziął, gdyby była mniej piękną, albo też gdyby był znalazł *lepszą partyę*. Małżeństwo to, nie śmiemy powiedzieć szczęśliwe, bo to wyraz zbyt wielki, ale z pewnością bez skazy, wniosło do rodziny Bojalskich nowy żywioł czegoś szlachetniejszego, niepoziomego, który się tak pięknie wyraził w dwóch nadobnych dziewczętach. Gdybyśmy jeszcze przeszłość pani mieli wyprowadzać, przedstawiać jęj szczegółowy wizerunek, nigdybyśmy nie skończyli, a wreszcie ona maluje się dostatecznie w swojém dziele, wychowaniu córek.

Główną cechą pana Bojalskiego była pewna niejakość i małość we wszystkiém. Nie był ani złym ani bardzo dobrym, w niczém się nie odznaczał, nie bardzo, nie namiętnie nie był w stanie lubić...

— Stój pisarzu. Dopiero co główną cechą jego była próżność. Ileż to cech głównych? Czy czasem nie wszystkie są u ciebie głównemi?

— Nie podchwytyj czytelniku. Przebacz nieściłości, byle się jako tako wyłożyło rzecz. Otóż niejakość i małość, są zawsze towarzyszami próżności i pod nią się podrozumiewają. Każdy taki Bojalski będzie małym i niejakiem, a jeżeli raczysz posłuchać, gotowimy poszczegółowie wyliczać.

Może lubić pieniądze, ale nie tą namiętną miłością prawdziwego skąpca.



Może lubić nieprawe znaczenie i może stawać się dla niego płasko-nikczemnym, ale czynnym niegodziwcem i zbrodniarzem nigdy nie będzie, bo nie ma téj szatańskiej tęgości, której wymaga pycha, chociażby nawet przytępił w sobie zupełnie głos sumienia, który zawsze dosyć cicho się odzywa u małych ludzi.

Może lubić dobrą sławę i byle sławę, ale bez popędu i poświęcenia.

Może się wciągnąć w dobro jakby się wciągnął w zło, lecz niech tylko zbyt ostre ciernie na téj drodze nie rosną, bo się cofnie.

Co go otacza, nim rządzi, wiatr może nim powiać albo na jedną albo na drugą stronę. Może nawet przekreślić go z jednej na drugą.

Może kochać rodzinę, być dobrym synem, małżonkiem, ojcem w zwyczajnych okolicznościach, ale siebie za nich w trudnych razach nie poświęci, i krwi swojej nie wytoczy jak pelikan aby ich utrzymać.

Otóż nasz pan Józef Bojalski był doskonałą próbką tego rodzaju ludzi. Do złego nie miał ani pokusy, ani sposobności, więc dobrym był biernie. Położenie zaś szlachezca wiejskiego było dla niego jedynem i niezrównanem, bo dawało mu bardzo wysokie stanowisko, chociaż w bardzo drobnym zakresie.

Może ci dziwno czytelniku, żeś nie widział w jałdalnym pokoju w pasy ciemno-pomarańczowe i jasnobłękitne zawieszonych na ścianach wizerunków wyobrażających przodków gospodarza. Dziwno żeby ich nie było w domu, w którym ta sama rodzina przebywa przynajmniej od dziada, a jeszcze dziwniej, żeby się

Bojalski niemi nie popisywał. Odkryjemy ci tajemnicę. Było istotnie bardzo ich wiele, pochowanych w dawnym lamusie, gdzie ich przed kilkunastu laty skazano na wygnanie. Może pani? Nie, sam pan. Nie było pomiędzy owemi przodkami żadnego wielkiego dygnitarza, żadnego kasztelana, żadnego nawet podkomorzego, nawet nie było posła na sejm. Do tego były małych rozmiarów i bardzo prostego pędzla. Zobaczywszy w innych miejscach ozdobniejsze, z buławami, w sobolowych szubach, swoje nie znalazł godnemi siebie. Właśnie wtenczas zaczął był składać pieniądze, i wyobrażał sobie, że jest bliskim stania się znamienitym człowiekiem.

Pan Bojalski lubił i pieniądze i pokaz który jest ich nieprzyjacielem. Miał co do tego bardzo piękne zasady. Przy bardzo wielkich pokusach, mógł sobie pozwolić nadzwyczajnego wydatku, byleby nieprzechodzącego dochód. Do téj ostatecznej granicy parę razy się zbliżył, ale dotąd jeszcze nigdy do niej nie doszedł. Lecz był szczególnie chciwym w swojej rozrzutności. Tak czytelniku, nawet marnotrawstwa nie popełnił przez zapomnienie, ale zawsze z przyzwoitą rozważą: *czy warto?* to jest, czy za swoje pieniądze będzie miał dosyć zadowolenia miłości własnej? Jeżeli osądził, że za mało w stosunku wydatku, zamykał worek. Byłby doszedł aż do téj a téj liczby, ani grosz więcej. Mogło zaś zdarzyć się, że zaraz wydał dwa razy tyle na inny przedmiot, bo rozważył, że za tamten niewarto było tyle, a za ten warto dwa razy więcej. Dla bardzo znamienitego pokazu, choćby tylko na

jedną chwilę, oddałby wszystko, ale zrozumiemy się dobrze, wszystko do ostatecznej granicy którą sobie położył, to jest wszystek swój dochód. Nie było zaś nic takiego dla czego by oddał chociaż grosz jeden więcej.

Jeszcze rys jeden ostatni. Mówiliśmy, że Bojalski odznaczał się umysłową gnuśnością, lenistwem zatrudnienia się, a jednak nie wiedział co ze swoim czasem czynić. Czyby nie właściwiej było powiedzieć, że to było jedną z przyczyn dla których nie wiedział co z nim czynić? Nędzarz cielesny umie jeść, ale mu braknie chleba. Nędzarzowi umysłowemu nie braknie zajęcia, ale umienia się zająć, ale udolności. Bojalski tak skory do wszystkiego póki szło o prosty pokaz i wystąpienie w uroczystej postawie dziedzica Osin, prawdziwą pracę, ważną naradę, odkładał od dnia do dnia, od chwili do chwili, jak uczeń szkolny wykonanie zadaną roboty. Gdyby takie kalectwo duchowe nie miało strony bardzo bolesnej, prawdziwie śmieszno byłoby patrzeć na niego jak się nieraz wykręcał, od żony, od Józefowicza i innych sług wyższego rzędu (oficyalistów), kiedy trzeba było naradzić się nad jakim przedmiotem lub powziąć jakieś postanowienie i rozporządzić się. Może się to jeszcze pokaże.

— Jak to pisarzu, co się to znaczy, *może*? Czy nie wiesz co będziesz pisał?

— I wiem i nie wiem czytelniku. Naprzód nie wiem czy skończę, bo kto zna przyszłość choć najbliższą? Wiem całą moją powieść, bo ją widzę w najmniejszych szczegółach, ale tego jeszcze nie wiem, które będą ci przedstawiane a które ominięte.

— Toś nie przetrwał swego przedmiotu biorąc się do pióra?

— Na rozprawie widzę że z tobą czytelniku nie wygram. Wygadałem się ze szczerotą początkującego, może to źle, ale cóż czynić kiedy tak jest prawda. Dalejże do powieści, a na stronę rozumowania i spory, których może lepiej było wcale nie wszczynać.

## ROZDZIAŁ VIII.

### Poranek pana Bojalskiego.

Pan Bojalski zapijał sobie kawę, pod *kolumnadą*. Daruj czytelniku, że to jego niedorzeczne wyrażenie się tak nam utkwilo, że powtarzamy je na własny rachunek. Zajadał sobie przytém smacznie a pomalu bułeczkę z masłem tak świeżém jak rzadko w mieście znaleźć, bo z dziś rana albo z wczoraj wieczora. Piotrek stał we drzwiach wejściowych, widocznie z obowiązku służby. — Czyż i tego potrzeba, żeby lokaj stał i patrzył się kiedy pan pije kawę? — Jakże niewyrozumiały a zawsze złośliwy jesteś czytelniku. Gdybyś miał trochę cierpliwości, zobaczyłbyś, że to nie było bez celu. Dla czegoż odmawiać sobie wygódek, dla czegoż nie kazać sobie służyć, kiedy się utrzymuje sługi? Fajka pańska, jedna z pięciu uprzywilejowanych, (reszta była dla gości), oparta była o ławeczkę koło Piotrka, który widząc że pan bliski jest skończenia swojej bułki, poszedł do kredensu i przyniósł w rękach żarzący się węgiel, przerzucając go szybko

z jednej dłoni na drugą, tak aby jak najdłużej znajdował się na powietrzu a zaledwie ciała dotykał; położył go na fajce którą wziął w ręce, i dmuchał na węgiel, aby mu nie zagasł i aby przy tém tytuń się zapalił, który zaczął wydawać wonny dymek. Ale czy to Piotrek omylił się w swojej rachubie, czy téż pan dłużej tego dnia zajadał, węgiel nie dał się utrzymać przy życiu. Tym razem Piotrek już nie zwykłym krokiem, ale biegiem puścił się do kredensu po nowy, i to samo z nim powtórzył. Kiedy pan skończył bułkę i wolno popił ją kawą, wyciągnął nie nie mówiąc rękę, w której zaraz znalazł się cybuch, przez Piotrka podany. Odbyło się to z wielką dokładnością. Przypnać trzeba, że Bojalski miał dar urządzić się doskonale w domu.

Dolał sobie trochę kawy do filiżanki, aby potrosze sobie mógł łykać przy fajce, podniósł ją trochę ze spodkiem razem i powiedział: zabierz. To było tak przewidziane, że nim rozkaz ten wyrzekł, Piotrek już się zbliżył aby go wykonać, zabrał tacę z całym przyborem, sprzątnął ze stolika co jeszcze zostawać mogło i wyszedł. Widziałeś zapewne czytelniku nieraz Niemców siedzących po całych godzinach w ogródkach zapełnionych altankami, w mileczeniu przy kufłu piwa, z cienkim rogowym cybuszkiem w ustach. Coś w tym rodzaju miał pan Bojalski w swojej postawie i ruchach, tylko po jego oczach mogłeś dostrzedz, że czuł się panem tego miejsca. Gdzieindziej inaczejby się patrzył i fajka takby już nie smakowała. Dopalił do dna, ale mu się nie chciało z miejsca się ruszyć. Wziął

laskę i stuknął parę razy skuwką w słup próżny, zwany kolumną. Piotrek się ukazał ze zwykłą sobie żywością.  
— Daj inną fajkę! i oddał mu tę, którą skończył.

— Żwawy chłopak aż miło, pomyślał. Szkoda, gdyby miano *mi go zabrać*. Gdyby *mi się nie popsuł*, na takiego lokaja doskonałego by się wy kierował jak rzadko. Biedny Piotrek ani się domyślał zapalając drugą fajkę Bojalskiemu, że on w pustej swojej głowie obraca myśli które o jego losie mogły stanowiąć.

Jak długo tak siedział, nie wiemy, nie uważaliśmy nawet czy dwie, czy trzy, czy cztery fajki wypalił. Oczy jego się zwróciły na ekonoma, który wszedł na podwórze przez bramkę, i skoro minął większą jego połowę, zdjął z uszanowaniem czapkę i zatrzymał ją w rękę, widocznie dla uczczenia siedzącego pompatycznie Bojalskiego z czerwoną czapeczką na bakier i bursztynem w ustach, ale zamiast iść do niego prosto, dążył zwolnionym krokiem ku wejściu do kancelaryi od ściany szczytowej, która była urzędowem miejscem posłuchania. Za złyby mu wziął Bojalski, gdyby bez wyraźnego wezwania, udał się wprost do niego w innym miejscu obrębu dworskiego.

— Buczyński!

Ekonom przyspieszył znowu kroku, zwracając się do pana, oddał mu pokłon tego samego rodzaju co Józefowicz, tylko głębszy i niezgrabniejszy, i o parę kroków od niego stanął.

— Cóż powiesz dobrego?

— Wszystko Bogu dzięki dobrze Jaśnie Wielmożny Panie. Dziś mało robocizny. Wybierają się

tylko resztki pańszczyzny z tygodnia. Dwóch mam u przeorywania nawozu na wielkiej niwie, trzech na piechotę u poprawy płotów, i ośmioro czeladzi u pielenia.

— Dobrze. Pilnuj tylko, żeby głęboko orali a drobno raz koło razu.

— Już o tém będę pamiętał. Żeby to JW. Pan widział jaka to piękna pszenica koło gruszy, tam gdzie sam JW. Pan przeszłego roku był przy órcie! Jak las! ani wąż się nie prześliznie! a taka ciemna, z daleka zdaje się aż czarna. Boję się tylko, żeby nie wybujała za dużo i nie wyległa. Szkoda, żeśmy nie skosili. Możeby jeszcze niezapóźno było.

— Widzisz Panie Buczyński, jak to trzeba pilnować wyróbki roli, to grunt wszystkiego.

— JW. Panie, ja pilnuję jak mogę dobra JW. Pana. Zdaje się że nie polenię się, świt mnie z domu wypędzi, a noc dopiero przypędzi ale nie wiem czém się to dzieje, że zawsze wszystko lepiej się udaje gdzie sam JW. Pan zobaczy i rozporządzi.

Tego to, tego trzeba panu Bojalskiemu. Rosnął z radości. Dobrze się dzień dla niego zaczynał.

— To powiadasz, że tam piękniejsza pszenica! A widzisz Panie Buczyński, a wtenczas zdawało ci się, że swoją głowę najmędrzej zrobisz.

— Gdzież tam, proszę JW. Pana, alboż to ja zawsze nie wiedział, że mi się od JW. Pana uczyć! A zaraz obok, także piękna pszenica, brzydkiej Bogu dzięki wcale nie mamy, ale już nie to.

— Muszę zobaczyć.

— Niech JW. Pan zobaczy, bo warto. Chciałem się jeszcze JW. Pana spytać, gdzie wozic resztę gnoju?

— A ty jakbyś myślał?

— Mnie się zdaje, że na te tafle co są w klinie, tam będzie piękna pszenica, a najdawniej nie nawożone. Ale niech zawsze lepiej sam JW. Pan zobaczy i zdecyduje, bo ja sam boję się i sobie niedowierzam. JW. Pan lepiej wie.

— A gdzież możnaby jeszcze gnojł położyć w innym miejscu?

— Innego miejsca nie widzę. Na prawo trzy lata temu nawożono, ode drogi sześć lat, ale jeszcze może się udać pszenica, a żyto będzie wyborne. Nie ma stósowniejszego miejsca jak klin.

Jeżeliś uważał na tę rozmowę czytelniku, powiesz, że sobie żartował ekonom wzywając wysoki rozum pański do rozstrzygnięcia pytania które miało tylko jedną i bardzo prostą odpowiedź. Znał Bojalskiego. Masz próbkę jak pracował i rządził.

— Dobrze Panie Buczyński, pojedę tam i zobaczę, a za jedną drogą obejrzę pszenicę.

— Niech JW. Pan będzie łaskaw kazać mnie zawołać, żebym czasem gdzie indziej wtenczas nie był, bo to na miejscu o wiele rzeczy może zdarzyć się JW. Pana zapytać jak sobie postąpić.

— Dobrze Panie Buczyński. Lepiej dziesięć razy się spytać jak głupstwo zrobić. Kiedy czego nie wiesz, nie wstydz się, lepiej się zapytaj. Lubię to.

— Jasnie Wielmożny Panie, rzecze przystąpiwszy i ręką swą biorąc za kolano pańskie, mam prosić o łaskę.

Wyrazy te: o *łaskę*, zwykle na każdym gospodarzu, i na Bojańskim także, sprawiają złe wrażenie, bo pod tém zawsze mieści się: *daj*. Nietyle jednak się skrzywił ile Buczyński mógł się obawiać, a to dzięki ujęciu go na wędce jego miłości własnej.

— Mój kasztan nie przydał się dla mnie do pracy. Nie takiego konia mi trzeba do służby JW. Pana.

— Cóż ci złego w tym koniu? Spasiony jak becзка, silny.

— Muszę go chronić JW. Panie, bo inaczej zamęczyłbym go na nic. Zaraz się zasapie, kiedy tylko trochę więcej go użyć. Jak teraz, chodzę najwięcej piechotą, ale boję się żeby na tym służba pańska nie cierpiała.

— To go sprzedaj a kup innego.

— Proszę JW. Pana, nie znajdę sposobności sprzedania aż na jarmarku lipcowym.

— To ci pozwolę tymczasem brać pod siodło konia z fornalki.

— Nie można, proszę J. W. Pana. Jeżeli konia jednego się oderwie, to sobie nie dam rady z robotą folwarczną. Zdarza mi się teraz bardzo tanio kupić sliczną kobyłkę gniadą, lat cztery, na której spodziewam się długo popracować u JW. Pana. Niech mi JW. Pan pozwoli do jarmarku dotrzymać oba. (Tu nastąpiło nowe dotknięcie się ręką kolana pańskiego.) Kobyłkę puszcę na trawę póki kasztana nie sprzedam, a tymczasem jak będę mógł, na nim przebiduję.

— Dobrze, pozwolę ci na ten raz bo jestem z ciebie zadowolony — rzekł uroczyście dziedzic Osin, — ale pamiętaj się starać.

— Oh JW. Panie, jakieżby człowiek się na takiego pana nie starał. — I znowu wziął za kolano. — Ile sił moich tyle starać się będę się zasługiwać.

Zdaje nam się że musiał w myśli swojej dodać: szczególnie w taki sposób jak dziś, bo łatwy i pewny. W istocie trudnej rzeczy dokazał, ponieważ Bojalski, tak jak każdy dziedzic na wsi, niechętnie pozwalał na powiększenie żyjącego dobytku sług, szczególnie zaś będącym w tak bliskim stosunku ze stodołą.

Nie przytaczamy już reszty rozmowy z Buczyńskim, który pana zostawił w złotym usposobieniu (humorze), sam także wyszedł obradowany. Domyslasz się czytelniku, że w głowie jego niepostała ta myśl, żeby kobyłka gniada miała się wypasać samą trawą.

— Dzień dobry ci mężu.

Słowa te przerwały Bojalskiego dumanie... o czém? o niczém. Nowa rozrywka. Nie, coś grożącego. Nie przyszła bez celu, pewnie jakaś narada,..... inaczey przybyłaby razem z dziewczętami. Jednakże niezdradził swego podejrzenia, i złożył na jej czole poważny pocałunek, jakby z głębokim przekonaniem, że ją przez to uczcił i uszczęśliwił.

— A dzieci?

— Przyjdą niezadługo dzień dobry ci oddać. Biedaczki tak się napłakały.

— Jak to niepotrzebnie! Czy licho nadało, że przy nich Józefowicz wczoraj przyszedł oznajmić. Muszę im nagadać, że to nie ma czego tak płakać, bo cóż to pomoże, corocznie to samo będzie....

— Nie mężu. Daj im pokój. Zostaw je same sobie.

Niech się wyplaczą ile chcą. Nietrzeba czułości ich rozdrażniać napomnieniami i radami.

— Na cóż zdały się te łzy? Ja nie chcę widzieć w domu zasepionych twarzy....

— Powtarzam ci że trzeba tak zostawić, przekonasz się że dobrze mówię. Czułość ta jest ich ozdobą, i tobie przynosi zaszczyt jako ich ojcu....

— Prędzej tobie moja pani jako ich matce, rzekł uśmiechając się i trochę udobruchany. Jużci każdy powie, że matka a nie ojciec nauczyła je płakać!.... ha! ha! ha! To dobre żebym ja miał uczyć płakać Rózię i Zosię!

— Ani ty ani ja nie uczyliśmy je płakać ale wychowaliśmy je dobrze w miłości bliźniego, a te łzy ich świadczą za nami, za tobą i za mną, bo ich wychowanie jest naszym wspólnym dziełem.

— Ja się do tego *nietyle* przyznaję..... Niepotrzebnie się lękałem, pomyślał; jejmość nie przyszła dzisiaj nudzić.

— Ani ja ani ty, ale my oboje. Ja bez ciebieym tego nie dokazała, ani ty bezemnie.

— Rozumie się, że jabym nie mógł w Warszawie siedzieć i pilnować ich kiedy tam brały różne lekye.

— Oneby nigdy nie były takie gdyby w tobie nie widziały zasad uczciwości, miłości kraju. Ty nie uwierzysz mężu jak najmniejsze słówko ojcowskie wiele waży na szali wychowania dziewcząt. Matka długimi dniami tego nie dokaże, co ojciec w kilku wyrazach naprawi albo zepsuje....

— Moja pani, gadasz jak z książki, tylko nie tak

nudnie (pewnie wspomniał o wczorajszym *in octavo minori* ze złoconemi brzegami). Ja, widzisz, zawsze jestem za tém, że się największe uszanowanie należy głowie rodziny.....

— Widzisz przecie żeśmy je w tych zasadach wychowali.

— Prawda że tak *wychowaliśmy*.

— Trzeba żeby z naszego wychowania takiego dalej korzystały, a nadewszystko mężu, żeby z niego dały się poznać. Wszak los dziewcząt od tego zależy. Posłuchaj mężu o czém się chcę z tobą naradzić.

— Obchodziła i podeszła, pomyślał, ale się wykręć. Dodał zaś głośno: Bardzo dobrze moja Pani, ale czyby nie można tego na drugi raz odłożyć, bo jestem zajęty.

— Co masz do czynienia? Od paru godzin tu siedzisz.

— Muszę pojechać konno do pszenicy. A potem, widzisz, żydek tam daleko uwiązuje konia od biedki. Może jakiś kupiec.

Pani Bojalska widziała, że już nie czas starać się ujmować męża i że niepozostaje nic innego jak nacierać, aby doprowadzić go do jakiegoś postanowienia w przedmiocie o którym wczoraj lekko napoczęła.

— To co ci mam mówić, daleko pilniejsze. Powiadam ci że wiem z pewnością, że niebawnie Moskale będą probować do nas się wkrećić.

— No to poczekamy. Kiedy to nastąpi, zobaczymy co czynić.

— Tak, ale czy pomyślałeś nad tém, że przez to

los dzieciom się zagrozi? Kto wtenczas pokaże się u nas? Jakiejże *partyi* będą mogły się spodziewać?

— Moja Pani, ty zaraz z domysłu czynisz coś ogromnego, ja ci powiadam że to *jakoś będzie*, że znajdzie się sposób, a niema co tak się frasować. Pilniejszy pobór..... I uczynił ruch jak gdyby zamierzał wstawać. Żydek téż zbliżał się coraz bardziej do bramki.

Pani Bojalska wzięła za obie ręce męża.

— Mężu, ja ci powiadam, że jeżeli który tu przybędzie, to my się nie pokażemy. Mów zawczasu że jesteśmy chore, lub co chcesz wymyśl. Gdyby się to miało ponawiać i stawać za częstém, trzebaby żebyś nas znowu wyprawił do Warszawy, bo to ci mówię, że nie mogłybyśmy zostać bez zagrodzenia przyszłości córek.

— Moja Pani, ja ci mówię, że to wszystko urojenia.....

— Jeżeli urojenia, cóż ci szkodzą? To pamiętaj, że wraże przybycia nieproszonego gościa, to on nas nie zobaczy.

— Już tylko Moskali masz w głowie.....

— Nie rozprawiajmy tyle. Czasu nie masz. Czy zgoda?

— Na co zgoda?

— Że się nie pokażemy?

— No zgoda, zgoda, kiedy chcesz, powiedział Bojalski jakby odczepnego i rad że się kończy rozprawa. Zgoda moja Pani, dodał, ale powiedzże mi zkąd te wiadomości twoje?

— Pamiętaj że na tém stanęło, rzekła puszczając

jego ręce. Właśnie téż żydek dochodził do samej bramki, i wątpliwości nie mogło być że szedł do dworu.

— Jakiś nieznajomy, łapserdak, nie wygląda na *more morajne*. Coby on mógł chcieć kupować? Powiedz nim nadejdzie, z kąd masz te wiadomości?

— Pani Bierzyńska napisała mi onegdaj list ostrzegając mnie.

— Co ona tam może wiedzieć! Ale opowiesz mi to wszystko.

— Kiedy zechcesz, choćby teraz.

— Nie teraz, trochę później.

Już się niebał teraz Bojalski, bo mu się zdawało że to już nie będzie narada ani rozprawa, ale tylko proste opowiadanie, które posłuży do zabicia czasu, które rad był zachować w zapasie na chwilę większego głodu. Na teraz miał żydka. Pomysłał sobie o rozmowie z żoną: nie tak straszne jak się zdawało; zdaje się że się już zupełnie wygadała i nic nie chowa w zapasie.

Żydek tymczasem zbliżył się do samego przed-sionka, do którego przystąpił trzymając w ręku czarny kapelusz, giętki, z szerokimi brzegami, jedném słowem kapelusz żydowski, do którego na całym świecie nic podobnego nie można dojrzec. Możliaby sądzić, że nigdy nowych nie wyrabiają, lecz te same od pradziadów przekazane noszą, tak są wszystkie brudne, wyszarzane, pogięte i t. d. Bojalski nie tracił żadnego ruchu jego z uwagi, choć przez wyrachowanie na niego nie patrzył i udawał że go nie postrzega, bo miał wpojona przez ojca zasadę, że nie należy nigdy oka-

zywać zajęcia z powodu przybycia kupca, bo to zły wpływ wywiera na ceny. W braku nawet czegoś coby chciał powiedzieć, byłby cokolwiek mówił do żony, żeby wydawać się zajęтым czém inném. My zaś doskonale o tém wiemy i czytelnika zapewniamy, że małe jego serce dygotało silniej jak zwyczajnie.

Żydek stanął przed środkiem przedsionka trzymając w lewej ręce kapelusz, prawą zaś uchylił jarmułkę i prędko nagiął i znowu wyprostował swoje ciało najśmieszniej niezgrabnym ukłonem. Bojalski się nie obejrzał, jakby nie domysłając się jego bytności. Żydowi zdaje się nie było pilno, także przypatrywał się, chcąc odgadnąć zapewne z jakim rodzajem człowieka mieć będzie do czynienia, bo taki mały handel usposabia do prędkiego i trafnego sądu o ludziach, lecz tylko pod temi drobnemi względami, na których wiadomości zależy przekupniowi.

Musimy na zaletę pana Bojalskiego powiedzieć, że przynajmniej wstydział się żony, i już miał do żydka zagadać, kiedy Obal, duży brytan podwórzowy, zaszczeakał grubym głosem, a żydek krzyknął przeraźliwie: Aj waj, i zastawił się biczem.

— Obal pójdź tu! hej! jest tam który! Nie bój się żydka. Piotrek odpędź Obala.

Żydek parę razy ukłonił się jarmułką i osobą swoją. Pejsy długie i rozczochrane za każdym ukłonem nachylały się i wietrzyk niemi kołysał jak brudnemi gałganami, które zawieszają na tyczkach dla odstraszania ptaków.<sup>(20)</sup>

— Cóż powiesz żydka?

— Przyjechałem się dowiedzieć czy *najjaśniejszy Wielmożny Pan* czego nie sprzedaje.

— A cóż ty kupujesz?

— Wszystko cotyłko JW. Pan (ukłon) chce sprzedać. Niech JW. Pan (nowy ukłon) da co biednemu żydkowi zarobić.

— Rozmówię się zaraz z tobą. Piotrek, zaprowadź go do kancelaryi, ja tam zaraz przyjdę.

Dobry dla ciebie dzień, Panie Bojalski. Miałeś rozmowę z ekonomem która cię zadowoliła, zbyłeś się tanim kosztem strachu rozprawy z jejmością, masz teraz żydka. Jużci to się tobie należało po wczorajszym wieczorze. Prawda, żydek nie wiele obiecujący, ale i takim warto się zająć. Pomyśl pierwój nim pójdziesz do kancelaryi o wszystkich niepotrzebnych rzeczach których nikt nie chce a które wartoby mu wectknąć. Do tego żydek taki nieoceniony, bo wszystko gotów kupić, i zepsutą resztkę i nędzny grat. Masz czas sobie przypomnieć i zastanowić się, bo niewypada się spieszyć, trzeba mu dać poczekać, żeby on nie poznał że ty jeszcze niecierpliwszy od niego jesteś skutku tego targu, ty, dla którego ten pieniądz który od niego dostaniesz jest niczém, który bez wahania się więcej daleko wyrzucisz aby zadosyćuczynić najmniejszemu twojemu zachcieniu. Spokojni jesteśmy o ciebie, że potrafisz poprowadzić całe to rokowanie z przyzwoitą roztropnością i że nieokażesz się niższym od żydka, choć twoi przodkowie nie targowali łokciem ani kwartą. Prawda że ty jesteś człowiekiem znamienitym a on nędznym prochem w porównaniu ciebie, ale ty na

chwilę niezapomnisz że z tém wszystkim on przybył z pieniędzmi które mogą przejść do twego worka i których nienależy popuścić, że trzeba go ująć obejściem, nadzieją dalszych targów, i tak prowadzić rzecz całą aby koniecznie kupił. Wiemy dobrze, że nie możesz go prosić siedzieć, bo i tak dosyć dla niego zaszczytu że łaskawie do niego przemawiasz, i czasem w zamian Jaśnie Wielmożnych i Najjaśniejszych, rzucisz mu uprzejme *Mości kupiec*, albo *Panie starozakonny*, ale wiemy że nic nie zaniedbasz z tego na co względ własnego dostojęstwa pozwoli.

Gdybyśmy się niebali zanadto się zagadać, opowiedzielibyśmy czytelnikowi jak się odznaczasz w obejściu wszystkich trudności.

A z tém wszystkiém jeszcze się nie zaczęły ważniejsze przygody które cię tego dnia czekały! I żydek i wszystkie podobne rzeczy za nic w porównaniu.

## ROZDZIAŁ IX.

### Goście.

**J**aśnie Panie, goście! wykrzyknął Piotrek do Bojal-  
skiego, który po dwugodzinnéj rozmowie z żydkiem,  
namyślał się czy nie pójść piechotą do pszenicy, czy  
nie wziąć z sobą której z córek żeby mu weselój było,  
czy nie kazać sobie czasem podać pierwej zakąski jakiéj.

To słowo: *goście*, upragnione było jak manna zgło-  
dniałemu.

— Gdzie! Czy nie wiesz kto? — I nie czekając  
odpowiedzi wybiegł na krużganek jak gdyby o dwa-  
dzieścia lat młodsze miał nogi. Tomasz tam stał i wy-  
glądał, w towarzystwie dwóch ciekawych także kreden-  
sowych chłopaków którzy się zaraz pochowali. Pani  
od dawna siedziała sama jedna pod lipą z robótką w ręku.

— Tęgie jakieś siwosze, czy nie poznajecie czyje?

— Nie wiemy Jaśnie Panie.

— Jak dzielnie suną! Dobre licowe! Co za dzi-  
wny jakiś woźnica że z bicza nie pęka?

— Jaśnie Panie, odezwał się Tomasz, to musi być  
pan Gustaw Wodzicki.

— Czy poznajesz?

— Nie Jaśnie Panie, ani koni ani ludzi nie znam, ale on nie pozwala z biczem pękać, chyba na czystym polu albo w lesie.

— Także jakieś dziwactwo! Lekka bryczka, jeden na koźle, a dwóch w tyle.

— Pewnie pan Wodzicki, bo on zawsze służącego obok siebie sadza.

— Wjeżdżają w bramę. On sam.

Przyjeżdżający młody człowiek, lat dwudziestu sześciu, postrzegł panię siedzącą pod lipą i kazał stanąć, lecz woźnica nie był w stanie zatrzymać na miejscu koni, chociaż się cały wtył przegiął, a oba dyszlowe podały się zupełnie na zadnie nogi jak gdyby miały się spać. Gustaw korzystając ze zwolnienia biegu, lekko zeskoczył z bryczki i przystąpił do pani, z którą zaczął przywitania i rozmowę.

— A kochany Gustawie, rzecze przybiegłszy co tchu Bojalski z otwartymi rękoma, witaj, wieki nie widziany! I wyczałował się z nim na oba policzki. Dwie mile na ciebie i na takie koniki, to nie jest odległość tak wielka żeby o nas znowu zupełnie zapominać.

— Kochany Józefie, wiesz dobrze, że ja tak często w domu nie przesiaduję, inaczej byłbym państwa odwiedził.

— Cóż to się znaczy że twoje konie do stajni nie zachodzą! Hej.....

— Przepraszam cię. Nie mogę, mało mam czasu.

— Cóż znowu! Tak rzadki gość, i wpada jak po ogień!

— Pilno mi do Radomia; i dodał ciszej: o ludzi.

— Wiele u ciebie nazaczyli?

— Sześciu! Nie mogę pojąć co to znaczy. U wszystkich sąsiadów także naznaczono bardzo wielu, chciałem się dowiedzieć jak u ciebie.

— Sześciu, powtórzył Bojalski. To straszne rzeczy co te Moskale z nami wyrabiają!

Ale mamy powiedzieć, szło mu także o to, że u Gustawa nazaczyli półtora raza więcej, co naprowadzało na wniosek półtora raza większego majątku.

— Interesownie także rada jestem że Pan do nas wstąpiłeś. Jednym ważnym zleceniem go obciążę do Radomia.

— Niech Pani rozkazuje!

— Wszystko to bardzo pięknie i o zleceniach i o wspólnych biedach rozmawiać, ale to nie powinno przeszkadzać koniom odejść do stajni.

Póty nalegał, tłumaczył że dosyć czasu zostanie do pobytu w Radomiu, prosił, namawiał, aż Gustaw zgodził się parę godzin zabawić, co wiejskim zwyczajem znaczy przynajmniej cztery, a często pół dnia lub więcej. Tak umiał być gościnnym i prawie serdecznym w zapraszaniu, że nie powiedziałbyś że ten człowiek mógł kiedykolwiek o sobie samym pomyśleć. Nawet nie wierzymy żeby tak dalece mógł udawać uczucie którego nie miał. Jakieby złote to było serece, gdyby wszystkich ludzi pokochał na równi gości!

Poszedł sam dojrzyć umieszczenia koni, którym się chciał jeszcze przypatrzeć przy odprzęganiu. Pani zaś nie traciła czasu. Za powrotem zastał ożywioną rozmowę.

— Otóż będę Panu niesłychanie wdzięczna jeżeli Pan się o tém zechcesz dowiedzieć trochę.

— Może Pani być pewną że starania dołożę. Oto prawdziwa bieda która się Państwa może czepić, dodał odwracając się do gospodarza który się spojrzał trochę zdziwiony.

— Bądź Pan spokojny. Jesteśmy przygotowani na najgorszy wypadek. Mąż wydał rozporządzenie ogólne, do którego się będziemy stósować. Bojalski patrzył się coraz bardziej zdziwiony.

— Jeżeli taki nieproszony gość przyjedzie, mamy rozkaz wcale się nie pokazywać, i w razie potrzeby chorować.

— Ah wybornie Panie Józefie! nie mędrszego nie mógłś wymyśleć. Najlepszy sposób utrzcć im grzecznie nosa. Proszę cię, jeżeli co takiego się zdarzy, bądź łaskaw zaraz przyslij daj mi znać, a natychmiast przyjadę dowiedzieć się jak się to odbyło i nasmiejemy się z nich.

Nic nie mogło silniej na niego wpłynąć, jak te słowa powiedziane bez żadnego wyrachowania. Już nie szło o prosty ustęp domowego życia, ale on, Pan Bojalski, był postawiony na widowni publicznej, już zawczasu czekano co on uczyni!

— Dobrze Gustawie, zaraz poszlę do ciebie umysłnego, nie czekając aż nieproszeni goście odjadą, ale ty mi przyrzecz, że natychmiast przyjedziesz!

— Bądź tego pewny mój poezciwy Józefie. Lubię cię, że taki zuch jesteś.

Każde słowo takie głaskało go po sercu. Gdyby

mógł utrzymać je w myśli aż do zostania samemu jednemu, uczyłby ich się na pamięć ciągle, żeby się niemi napawać. Powiedział jednak skromnie, zapewne z boleścią serca, ale powiedział:

— To Jójmości najwięcej należy się sławy tego pomysłu.

— Doprawdy? Ja się na to nie zgadzam i utrzymuję, że tobie. Ale nie popełnijmy śmieszności przy panu Gustawie, obliczać się co czyje.

— Zapewne musieliście Państwo na to wpaść jednomyślnie, co właśnie jest najlepszą wróżbą. Zawszeć jednak ty Józefie będziesz miał najtrudniejszą część do wykonania.

— Mów Pan raczej że wszystko, bo my się tylko pochowamy w swoich pokojach, a jego samego zostawimy.

— Alboż to nie jest moim obowiązkiem za was się nastawiać? rzekł Bojalski, coraz dalej pędzony żądzą pokazu.

Zaczynamy sądzić, że możnaby go było przynajmniej raz jeden w życiu doprowadzić do bohaterskich czynów, do ściągnięcia pierwszego na bagnety lub na działa, pod warunkiem, aby na niego tylko patrzeć. Gdyby zaś miał być żołnierzem nieznanym, z pewnościąby uciekał.

Rozmowa nie stygła, Bojalski coraz bardziej się zapędzał. Uważał za święty obowiązek bronić dom swój od skażenia, naraziłby się na wszystko prędczej, jak przenieść poniżenie przyjmowania u siebie Moskali. Gustaw ani się domyślał, że to są nowo wylęgające się rzeczy, i że do nich tyle się przyczyniał przez to właśnie, że wyjawiał niechcący co myślał sam w sobie:

oto człowiek na którego mało liczą, nawet nie towarzysysz powstaniec, a tak wyraźnie uczciwy i tegi! Serdeczniejszy sam tylko sposób mówienia Gustawa, już był dla dziedzica Osin nadspodzianą ponętą, bo Gustaw odznaczył się w powstaniu, najlepszej sławy używał w całej okolicy, i był prócz tego lubionym. Jakżeby go podniosła sama zażyłość, a cóż dopiero pochwały takiego człowieka!

Co też z tobą dokazują, Panie Bojalski! zapędzili cię dokąd ani myślałeś, a trudno już będzie się cofnąć.  
— Proszę Jaśnie Państwa, zdaje się, że jeszcze ktoś tu jedzie.

Z ganku lepij widać było. Wszyscy spojrzeli na drogę, gdzie istotnie widać było punkt czarny szybko się zbliżający.

— Dziś widać dobry na gości jest dzień, rzeczy gospodarz zacierając ręce. Kiedy nie ma, to długo nie ma, za to też kiedy już Bogu dzięki zaczną przyjeżdżać...

— Trzy konie porącz.

— Masz tobie!

W tej chwili wjechały na mały pagórek, i na jasnym tle nieba odrysowała się *duha* (21) nad koniem środkowym.

— Prędzej jak myśleliśmy.

— O wilku mowa, a wilk tuż.

— Moi Panowie, ja tu nie mam co więcej robić. Podług rozkazu udaję się do siebie i czekać będę końca tego wszystkiego, w towarzystwie dzieci.

Bojalski tylko co się nie zapomniał i nie uczynił wycieczki przeciwko kobietom które wszystkie rzeczy

trudne i drażliwe zwałają na mężczyzn, ale w porę spojrzął na Gustawa.

— No Józefie teraz pora pokazać się.

— Ho! ho! Bądź spokojny. Co oni sobie myślą!...

Chciał wykrzyknikami dodać sobie ducha; znajdował się zaś w niewygodnym położeniu niezbyt gorliwego żołnierza, który w chwili trudnej znajduje się pod okiem zwierzchnika.

Już można było rozeznąć czerwoną czapkę brodatego woźnicy, obok niego jakby żołnierz jasno-niebiesko ubrany, a w tyle ktoś w wojskowym płaszczu.

— Lepiej wrócić się do pokoju, tam przyjmiemy.

— Możemy pójść do pokoju, zgoda, ale ty sam będziesz przyjmował.

— A ty?

— Ja będę milczał jak mruk. Siądę w kącie, albo książkę wezmę i będę czytał, albo będę spacerował po podwórzu, ale się do was nie odezwę.

— Czy to nie będzie nadto widoczne?

— Nic nadto. Tyle ile trzeba. Gdyby nas trzech było do rozmowy, pomimowolnie byłaby mniej suchą.

Nie było wreszcie czasu do rozprawy. Bryczka trzykonna wjeżdżała na podwórze.

— Czy nie wyjść mi pod kolumnadę?

Byli w pokoju jadalnym malowanym w pasy jasno błękitne i ciemno pomarańczowe, które wywołały u Gustawa przy wchodzeniu uśmiech którego Bojalski, nadto zaprzątnięty, ani dostrzegł.

— Mniejsza oto. Zrzucić tylko tę czapeczkę czerwoną w każdym razie.

Czapeczka haftowana kobiecęj roboty natychmiast poleciała w ką. Niebezpieczna. Barwy jěj narodowe.

— A czy licho.... jak to z najmniejszymi rzeczami się trzeba pilnować.

I spiesznie wyszedł na przedsiónek, ostatnie tylko kroki stawiając wolno, żeby prędkim ruchem nie nadwężyć swojěj powagi w obec przybysza. Serce mu biło więcj jeszcze jak za przybyciem żydka.

Woźnica w dużej czapce czerwonej, w długim po kostki sukienném odzieniu, pasem czerwonym przepasany, cały naprzód był podany z wyciągniętymi nad końmi rękoma, i do nich przemawiał gardłowemi nieznanemi u nas głosami podcinając je krótkim biczem skórzanym w rodzaju harapnika. W pewnej jeszcze odległości od bramki, oba orczykowe wprawił w galop i powykręcał im głowy na bok za pomocą mnóstwa cugli które trzymał w rękach, aby na podwórze wjechać okazale i wykwintnie podług pojęć swego narodu. Bryczka o niskich kólkach warczała na każdym zawrocie i zdawała się lecieć daleko prędj niż w istocie było, z powodu wrażenia które sprawiał galop wymuszony bocznych koni, przy wyciągniętym klusie środkowego. Przed samym środkiem przedsiönka, woźnica przyciągając do siebie ręce naprzód podane, zatrzymał konie na miejscu, co nie było trudno bo skoki ich były tylko harapnikiem wymuszone. Obok niego siedzący żołnierz żandarmeryi, już wypatrujący téj chwili, rzucił się niezgrabnie raczěj niż zeskoczył na ziemię, zdjął ostrożnie płaszcz z opiętego w nim szczelnie oficera, któremu już nie zdążył podać ręki do wysia-

dania i który cały świecący szlifami, sznurami srebrnymi, guzikami, i mnóstwem medali i krzyżów, między którymi był jeden, złoty, na niebieskiej wstążce, z napisem *militari virtuti*, wstępował na wschody przedsiönka, kiedy Bojalski ukazał się pompatycznie we drzwiach, siląc się nad swoim pomięszaniem panować.

— Czy mam *cześć*<sup>(22)</sup> mówić do pana tutejszego? Zdjął przytém czapkę którą w rękę zatrzymał.

— Ja *sām* nim jestem.

— Mam *cześć* przedstawić się Panu. Jestem Makarow, kapitan *pełny*, sprawujący tymczasowie obowiązki *komendanta żandarmskiego*<sup>(23)</sup> w Radomiu.

Bojalski odpowiedział ukłonem.

— Dawno już życzyłem poznać się z Panem.

Bojalski czuł, że coś trzeba było odpowiedzieć, ale co? Płatało mu się w głowie. Wreszcie bez myśli mu się wymknęło: Czy Pan nie pozwoli koniom do stajni?

— Dziękuję, z Radomia nie tak daleko, odrzekł Makarów, uważający za rzecz nieprzyzwoitą podług zwyczaju swego narodu, nie czekać powtórnego zaproszenia.

Bogu dzięki, pomyślał Bojalski, oto byłbym sobie dał! Szczęście że Gustaw nie słyszał. Woźnica brodaty przejeżdżał tymczasem konie do koła podwórza najwolniejszym stępem, a cała ludność służebna dworu wyglądała z okien, ze drzwi, z za węglów, na niezwykłych przybyszów.

Makarow był średniego wzrostu, lat dwudziestu ośmiu do trzydziestu najwięcej, małych oczu czarnych

na wszystkie strony latających, więcej badawczych i ciekawych jak przenikliwych, twarzy pucułowatej i czerwonej, jak gdyby tam się zbiegła krew całego ciała ściśniętego w pasie jak koń popręgiem i uwięzionego w mundur spięty pod samą brodę, który czynił wszystkie ruchy niełatwemi i sztywnemi. Nos miał trochę zadarty a szeroki, policzki wystające, czoło niskie i płaskie, wyraz twarzy pospolity, nierozumny, lecz szczególnie chytry, a kiedy się uśmiechał, przybierał coś złośliwego. Wprowadzony do pokoju jadalnego, uklonił się jak umiał najgrzeczniej Gustawowi, który oddał mu ukłon głęboki, ale najzimniejszy.

Biedny Bojalski w kłopotach. Co ja tu pocznę nieszczęśliwy! pomyślał. Nie można być nadto grzecznym, a jak tu znowu być niegrzecznym? Nigdy tego ostatniego nie próbował, chyba z bezbronnymi podwładnymi. Prosić do pokoju trzeba, dotąd rzecz niewątpliwa; Gustaw nic na to nie powie; ale później, czy go częstować czém, czy dać pokój? Kapitan który przy pewnej niezgrabności ruchu i mowy zdawał się dość przedsiębiorczym, cały w ukłonach wszedł do jadalnej izby i Gustawowi oddał najpiękniejszy ukłon na jaki tylko umiał się zdobyć, w zamian którego otrzymał równie głęboki, lecz najzimniejszy.

— Jak tu Pan pięknie mieszka! Cudownie malowany pokój!

Pierwszy znalazł się człowiek który pochwalił pasy pomysłu pana Bojalskiego. Gość nieproszony chciał koniecznie nadać sobie najśłodszy wyraz twarzy, aby ująć obecnych. Zapewne musiał być tak układny jak

ów lis w bajce, który się umizgał do kruka trzymającego ser w dziobie.

— Jestem w Radomiu dopiero od dwóch miesięcy, niewiem jeszcze czy na długo. Niech mi Pan raczy niebrać za złe że dotąd nie złożyłem mu *uszanowania*.<sup>(24)</sup>

— Pan kapitan nie ma za co przepraszać, bo się wcale nie poczuwam do prawa do jego względów.

Jak na Bojalskiego było to bardzo śmiało odpowiedziane, lecz bezczelność gościa dodała mu trochę odwagi.

— Nie, Panie Bojalski, ja to sobie uważam za obowiązek. Zawsze starałem się o dobre pożycie z obywatelami, i śmiem powiedzieć że mnie lubiono. Nasza służba jest taka, że obywatele powinni nas lubić kiedy ją dobrze spełniamy.

— Ja Panie kapitanie nie mam żadnej potrzeby wiedzieć o czynnościach służbowych.

— Pan mnie nie rozumiesz, a jabym chciał żebyś Pan wiedział jaki ja jestem człowiek. Może Pan myśli że my żandarmi jesteśmy na to żeby szkodzić? O nie Panie! mówił z uniesieniem jak gdyby głębokiego przejęcia. My jesteśmy na to żeby wszystko widzieć i o wszystkich nadużyciach donosić, a wiem że ich tu jest wiele, ale cesarz tego nie chce, i powoli, powoli będzie je poprawiał. Tak Panie, my na to jesteśmy i dla tego obywatele powinni lubić prawdziwych żandarmów.

— To się najlepiej pokaże, kiedy nadużycia znikną.

— Widzę że Pan niedowierza!

— Przyznaję się że niezupełnie.

Tu Bojalski sam się zadziwił swojej odwadze. Teraz

choćbym poczęstował, Gustaw już nic nie powinien powiedzieć.

— Hej, jest tam który! Podać wódki i zimne śniadanie!

Gustaw sam jeden oddzielnie siedział przy oknie, a gospodarz z żandarmem byli na kanapie. Ten ostatni ciągle na niego spoglądał i starał się spotkać jego spojrzenie, odwracał się do niego opowiadając, aby go koniecznie wciągnąć w rozmowę.

— Jeżeli ja się utrzymam w Radomiu, zobaczycie Panowie jak się postawię względem naczelnika wojennego i wszystkich władz, bo ja od nich niezależny; mam prawo wprost pisać do samego generała Benkendorfa.<sup>(25)</sup> Póki jeszcze niebędę wiedział co zemną nastąpi, nie warto zaczynać. Ja sam widzę że tutaj dzieje się bardzo wiele rzeczy które niepowinny mieć miejsca. Obywatele niekontenci, i niedziw, jakże mogą być kontenci..... Prawda że bywają często żandarmi którzy zapominają swego obowiązku i przeciw obywatelowi idą, ale ja do nich nienależę.

Milczenie było uparte. Uparcie téż dalej mówił.

— Oto muszę panom opowiedzieć parę wydarzeń żebyście wiedzieli co to znaczy dobry żandarm. W Tambowskiéj gubernii, jednemu bardzo zacnemu obywatelowi sąsiad jego, niegodziwy pieniacz, zabrał przez proces prawie cały majątek, przesłizne dobra. Kilka lat żyli w największej nędzy, aż żal pomyśleć że szlachetnego urodzenia kobiety, ślicznie wychowane, mówiące po francuzku, same musiały wodę do domu przynosić i jeść gotować. Mieszkali w biednym domku w Tambowie. Już przegrali we wszystkich instancjach.

Sama pani udaje się do pułkownika żandarmskiego cała we łzach, i rozpowiada mu całe swoje położenie. On człowiek dobry i szlachetny, rzekł jój: moja Pani, teraz rzeczy stoją już bardzo źle, więc ci nic niemogę obiecywać; zawsze jednak dobrze żeś do mnie przyszła; za kilka tygodni może ci coś powiem. Kazał sobie podać zapiski całej sprawy, napisał do naczelnika żandarmów całego imperyum i w sześć tygodni przyjeżdza sam do tych obywateli, do ich biednego domku. Radość zaraz wystąpiła na twarze wszystkich, a on powiedział: We wszystkich instancyach przegralsicie, i to od lat kilku, niema żadnego sposobu uczynić cośkolwiek na drodze prawa, zostaje wam tylko droga łaski. Życzę wam jój próbować. — Jakże Panie pułkowniku, beż żadnej protekeyi cóż poczniemy! Jakież srodek! — Abyście mieli za co wyprawić do Petersburga Panią i najstarszą córkę, sliczną dziewczynę lat 18, ręczę was za protekeyę jenerała komendanta korpusu żandarmów, który ma najlepsze o was doniesienia odemnie i pisał żeby wam to radzić. Mam papier urzędowy. Oni wszyscy biedacy chcieli mu do nóg padać. Jakoś tam wyprawiono matkę i córkę, pułkownik dał im prócz tego list do swego przyjaciela w sztabie. Ten przez parę dni ciągle był smutny, zadumany i mówił że nie jeszcze niema. Raz wreszcie przychodzi weselszy i mówi: jutro zaprowadzę was sam do ogrodu do Ermitażu. <sup>(26)</sup> Tam oddacie prośbę cesarzowi kiedy będzie spacerował. Ale na jedno tylko was zaklinam, jeżeli się cesarz rozniewa, nie mówcie nic kto was przyprowadził, tylko żeście

same przyszły i nikt was nie zatrzymał, bo wtenczas i pułkownik, i ja, jesteśmy zgubieni, mogą nas oddać w żołdacy za to że wam chcieliśmy dobrze zrobić. Jakież człowiek mógłby tyle poświęcić się dla obywatelskiej rodziny, co te dwa żandarmy! Poszły nazajutrz obie damy do ogrodu w Ermitażu, oficer, przyjaciel pułkownika, kazał je puścić. Ledwie pięć minut tam były, aż widzą że sam *gosudar z imperatrycą* (27) idą scieszką ku nim. Usunęły się trochę i obie ukłękły na ziemi, trzymając w ręku *proszenie* (28). Zbliżył się do nich, sam wziął proszenie i podjął je z ziemi, bo nie śmiały wstać. Rzecz prosta; pierwszy raz go widziały. Rozpytał się ich trochę, mówił bardzo łaskawie i wreszcie powiedział: już ja będę o waszjej prośbie pamiętał; otrzymacie w Tambowie odpowiedź. Wychodzą. Przewodnik ich na nie czeka. — A co? — Rozpowiadają mu i pytają co czynić. — Jakto co czynić? wracać do Tambowa. Kiedy *Jego Wieliczesstwo* (29) mówiło wam że tam otrzymacie odpowiedź, to znaczy się to samo co rozkaz żeby natychmiast tam jechać. Jutro musicie być w drodze, lepiej nawet dziś, ale bądźcie dobrej myśli. Kiedy tak do was *gosudar* raczył przemawiać, to pewnie coś uczyni. Wracają, opowiadają pułkownikowi. — Widzieliście żem uczynił wszystko co można, teraz czekajcie. Czekają dzień i dwa i trzy i cztery. Wreszcie piątego dnia zajeżdza przed domek karetą w sześć koni. Kto? Gubernator! Ani im w głowie że do nich, aż tu lokaj wygalonowany pyta czy przyjmują. Gubernator przeprasza że pierwój się z niemi nie poznał, choć oni dawno w Tambowie. Ma za obo-

wiązek sam im oznajmić rozporządzenie które otrzymał względem nich, — a zgadnij Pan jakie, rzecz, biorąc za rękę Bojalskiego? Oto, dodał głośnieję z przyciskiem na każde słowo: żeby natychmiast tamtego wyrzucić a ich wprowadzić do majątku, a to pod najsroźszą odpowiedzialnością gubernatora. A co? mówił dalej poglądając tryumfalnie, czy obywatelska rodzina byłaby wróciła do majątku, gdyby nie żandarm?

Makarów postrzegł że Gustaw słuchał ciekawie, chociaż udawał że wcale nie uważa. Zachęcony tém i myśląc może zmiękczyć swoich słuchaczy powieściami, wydobył ze swego zapasu drugą, którą chował także na wielkie zdarzenia.

— Albo co się zdarzyło w Mińskiej gubernii, z obywatelami Polakami, a czego sam byłem świadkiem, bo tam byłem adjutantem pułkownika. Obywatel jeden który bardzo źle się rządził, wypuścił na lat dwanaście w dzierżawę wszystko co miał, wymawiając sobie tylko dom, ogród, trochę zboża na życie, i coś bardzo mało pieniędzy rocznie, bo resztę wziął z góry na wypłacenie długów. Umiera. Dzierżawca płaci rok jeden akuralnie. Na drugi rok, ani zboża, ani pieniędzy nie daje ale tłumaczy się że grad mu wszystko wybił aż na siew kupować trzeba było, i jeszcze rości pretensye że mu nie postawiono budowli umówionych. Co tu czynić; bieda ostatnia. Radzi się nieszczęśliwa wdowa przyjaciół i prawników; wszyscy mówią: daj pokój, przegrasz, bo on ma za sobą prawo, a ty dotego nie masz pieniędzy nietylko na sędziów, ale nawet na koszt; i prawda że tak było. Ona głowy nietracąc udaje

się do pułkownika, który zajął się jęj położeniem i udał się natychmiast do gubernatora. Gubernator odpowiedział że się nie chce do tego mięszać, że to należy do sądu. — Ależ ta kobieta, mówi żandarmski pułkownik, nie ma za co pozywać i w sądzie przegra, a zmuszony będę od siebie przedstawić całą tę sprawę do mojęj zwierzchności. Gubernator potrzebował wtenczas jego i dał się łatwo namówić. Na sam początek posłał zapytanie do dzierżawcy, dla czego nie chce płacić dziedzicze? a nie odebrawszy zadowolającęj odpowiedzi, śledztwo na jego koszt. Trzeba było widzieć dopiero jak się zaczął kręcić dzierżawca, a tu drugie śledztwo i rozkaz gubernatora żeby natychmiast płacił pod egzekucyą wojskową, póki nie wyrobi się z tego u sądu i nie zyska wyroku. Dzierżawca chciał pozywać, ale gubernator jak go zawołał i powiedział mu, że go przedstawi jako nieposłusznego i niespokojnego jeżeli zgoda nie nastąpi, tak zaraz udał się do dziedziczki, dał jęj rozpiskę dobrowolną że odtąd będzie płacił regularnie, i jeszcze prosił się żeby wstawiła się za nim do gubernatora żeby mu dał pokój. Oto widzicie Panowie, gdyby nie żandarmski pułkownik, wdowa obywatelska z dziećmi zostawałyby w największęj nędzy, bez sposobu do życia. Taki powinien być żandarm, a nie donosami się zajmować.

Skończył. Nastąpiło milczenie; słuchacze byli zdziwieni.

— A co Panie Bojalski, nieprawda, że takich żandarmów daj Boże! Oto ja jestem z takich. Nikogo nie gub, komu możesz czynić dobrze! Jak Panu się zdaje?

— Mnie się zdaje, że warto rozmówić się z tą wódeczką i przekąską, którą podczas Pańskiego opowiadania postawili na stole. W ręce Pańskie.

— Nie mówiłem Panu z jakimi pochwałami sły-  
szałem mówiących o domu Pańskim u naczelnika wo-  
jennego i u generała! W ręce Pańskie, odwracając się  
do Gustawa.

— Dziękuję bardzo, nie piję.

— Zapewne się Pan kapitan myli, bo nie mam  
zaszczytu znać.

— Wiem, że się Państwo jeszcze z nimi niepo-  
znali, ale oni pragną tego najsilniej. Bardzo dobrzy  
ludzie. Pan będzie zadowolony z ich towarzystwa.  
U pani generałowej słicznie wychowana córka, i mó-  
wili właśnie, że tego samego wieku co Pańskie.

— Bardzo wdzięczny jestem, ale nie będę ko-  
rzystał z ich znajomości.

— A to dla czego Panie Bojalski? Tak Panu  
blisko do Radomia, tak łatwo na bal pojechać, panny  
by się zabawiły!

— Moje dzieci mają dosyć domu, a od wielkiego  
świata chcą stronić.

— Co Pan żartuje, czyż to na Pana wielki świat?  
To w pożyciu dobrzy prości ludzie, a w razie potrzeby  
protekeya gotowa do Warszawy i wszędzie.

— Mój Panie, nikt mnie za podejrzanego nie  
może uważać, mam z czego żyć i żadnej łaski niepo-  
trzebuję, na cóż mi protekeyi?

— Nie mów Pan tego. *Nikt nigdy nie może wie-  
dzieć, kiedy i jak może potrzebować protekeyi*, rzekł

sentencyonalnie Makarów, jakby zmuszony dać głos taki za dotknięciem tego klawisza. Jestto powiedzenie tak pospolite, że się co chwila mimowolnie powtarza, i nikt z Rosyan nawet uwagi nie zwraca ani mówiąc je ani słysząc, i nie domyśla się, że właśnie przez to maluje stan społeczny narodu. Ta myśl maluje stan Rosyi.

— A odebraliście Panowie listę popisowych?

— Odebrałem. Czterech aż u mnie biorą. Jeżeli tak ma być wszędzie, to rąk do pracy zabraknie.

— Dobrych ludzi Panu naznaczyli?

— Samych dobrych. Między innemi tego człowieka, który Panu fajkę podał.

— Panie Bojalski, nie turbuj się Pan o to, pójdź Pan tylko do naczelnika wojennego, on zaraz uczyni dla Pana wszystko co Pan zechcesz. To taki dobry człowiek.

— Wszystkich czterech nie może mi uwolnić.

— Dla czego? jeżeli zechce, jeżeli go Pan poprosisz, to może. A potem, pomiędzy nami mówiąc, pobór nie jest naznaczony tak wielki. Tylko czterysta dziewięćdziesiąt ludzi z województwa Sandomirskiego, a rozpisali dwa tysiące rekruta. Wyrobili sobie taką liczbę w Warszawie, żeby było w czém wybrać i także, dodał ciszej, żeby coś dostać od tych, których się uwolni. Dla obywateli także jest z tém lepiej, bo każdy który tylko zechce, uwolni dobrego człowieka za małą rzecz, a pójdą tylko same łotry, których nikt nie będzie bronił.

— Ucieszyłeś mnie Pan tą wiadomością, że nie-tylu biorą, Panie kapitanie!

— Bądź Pan spokojny. Pomiędzy nami mówiąc, konskrypcya tutejsza jest szkaradna. Ani się dziwię, że jesteście niekontenci, i sam mówię, że to nie może tak potrwać.

Gustaw i Bojalski wymienili spojrzenie które mówiło: *podstęp niezgrabny*. Tym razem pomylili się oba w domyśle.

— Muszą u was poprawić to niegodziwe prawo. Gosudar który jest ojcem nas wszystkich, niemoże długo cierpieć takiej krzywdy. Jakże! do czegoż to podobne, żeby obywatelowi zabierali własnego służącego, albo innego człowieka potrzebnego? Dla czego jemu samemu niezostawić wyboru kogo dać, kogo zostawić, jak jest w Rossyi? Dla cara wszystko jedno, zawsze będzie miał ludzi, a wy pozbędziecie się łotrów i złodziejów wszystkich. Miejcie Panowie nadzieję dobrą. Coś słyhać, że województwa mają zamienić na gubernie jak w Rossyi. Pewnie nastąpi przytém jaka pomyslna odmiana.

Oba słuchacze patrzeli na niego, Gustaw nawet nie był w stanie gdzieindziej wzrok swój kierować, i chcieli z niego wyczytać zamiar z którym mówił.

Makarów trzepiąc to wszystko, sprzątał bardzo gładko postawione na stole śniadanie, chcąc sobie nastroić postawy i jedzeniem i mówieniem. Szczególniej go zaś bodło obejście się Wodzickiego, który nieraczył do niego ani słowa wyrzec, prócz nieodzownych odpowiedzi. Wyglądał zaproszenia na obiad, chciał czas

zwlekać aby je uczynić nieodzowném, bo widział że inaczej nie nastąpi i że radziby go się pozbyć. Konie tymczasem przypominały się jego uwadze grzebiąc kopytami ziemię, a ludzie chodzili koło bryczki.

— Czy nie mogę mieć przyjemności być przedstawionym Paniom?

— Dziś wcale się nie pokazują. Niezupełnie zdrowe.

— Bardzo żałuję. Zachowam to sobie na raz drugi.

Milczenie.

— Jakże byłbym szczęśliwy gdyby mnie w Radomiu zatrzymali. To jest daleko przyjemniejsza okolica jak w Augustowskiém gdzie byłem poprzednio, a prawdę mówiąc, nie miałem z kim żyć. To zależy głównie od tego, czy otrzymam stopień majora, do którego zostałem przedstawiony. Nie mógłbym inaczej zajmować miejsca komendanta żandarmeryi całego województwa, które mi tymczasowie tylko oddano.

— Winszuję Panu takiego awansu.

— Istotnie że służba mi się powodzi. Jeszczebym przynajmniej lat ośm albo dziesięć musiał czekać na sztaboficerskie szlify, gdyby szczęśliwe zdarzenie nie dało mi schwytać osobiście ważnego bardzo emisaryusza, który się z Francyi przez granicę przekradał. Prawda, że kilka nocy przebrany za chłopą nocowałem w krzakach, ale téż jestem przedstawiony za odznaczenie, i w formularnym spisku służby<sup>(30)</sup> wzmianka będzie zaszczytna o tém. To na całe życie zostanie.

Muchębys usłyszał przelatującą.

— Gdzie też mam głowę! Tylko com nie zapomniał. Jenerałowa rozgrywa u siebie loteryę<sup>(31)</sup> na korzyść dwóch biednych oficerskich wdów. Spodziewam się, że Pan nie odmówi zapisania się. Dosyć na téj liście zakreslić numera które Pan chce dla siebie zatrzymać.

Nawet Gustaw nie umiał się od téj kwesty wyomówić, co, przyznać należy, gospodarzowi sprawiło ulgę na sercu, skoro ujrzał że nie jest do tego sam jeden.

Wreszcie po trzygodzinnéj nużącej rozmowie, o której dostateczne wyobrażenie dają próbki któreśmy przytoczyli, Makarów zabrał się do odjazdu i przedłużał pożegnania, wyglądając, czy się nie wymknie słowo jakie Bojalskiemu, któreby go upoważniało zostać, i wszystko co mógł czyniąc aby je wyrwać. Ale daremnie. Twarz gospodarza wypogadzała się w miarę jak bliżej był wsiadania. Odprowadzał go do bryczki z wyraźném upodobaniem i skwapliwością. Żandarm umieścił się na koźle i jeszcze niezupełnie usiadłszy, zawołał: *paszoł*, a trójka żywo ruszyła.

## ROZDZIAŁ X.

### Z nienacka.

Cały dwór Osin pozbył się ciężkiego przymusu. Bojalski zapomniawszy swojej powagi biegł jak piętnastoletni student do pokoju w którym zostawił Gustawa.

— Jakież nieznośne natręctwo! Oddycham przecie.

Rzadko mu się zdarzało tak mówić z koniecznej wewnętrznej potrzeby nie dla pokazu.

— I to jeszcze niekoniec. Uważałeś jak ci się obiecywał na drugi raz.

— Jenerałowa! Naczelnik! wykrzykiwał Bojalski chodząc po pokoju i machając rękoma! I jeszcze we własnym domu takie rzeczy ci gada żeby cię wszelkiej cierpliwości pozbawić! Szczęście że się hamowałem.

— Jasnie Panie, odezwał się Piotrek który umyślnie dla tego przyszedł, żandarm co z tym oficerem przyjechał, ciągle łąził do kuchni, do izby czeladnej, i precz rozpytywał się, jak się państwo bawią, kto bywa.

Drzwi się znowu otwierają, wchodzi pani a za nią

Zosia, jak gdyby Bojalski był sam jeden, bo niezwykła okoliczność czyniła że w tej chwili Gustaw nie był uważany za gościa. Ciekawość dowiedzenia się jak się odwiedziny te odprawiły, była silniejsza jak domowy obyczaj, który chciał żeby kobiety nieprzestępowały progu mężkiej strony domu jeżeli ktokolwiek obcy tam się znajdował, wyjąwszy obiad i kolacją w których pokój jadalny odzyskiwał swoją neutralność. Za nimi ale mniej śmiało szła Różia, niemniej ciekawa, ale wiadać niezapominająca że jest kobietą, że jest panną na wydaniu, a że tam znajduje się młody człowiek. Sama nigdy niebyłaby weszła. Zosia zaś przez okno nawet gotowa byłaby się wdrapać, gdyby innego sposobu niebyło.

Gwaru jaki się wszczął niebędziemy nawet próbowali opisywać. Pan Bojalski najdonośniejszym głosem swoim rozповідаł, niezwykle jak na niego prędko. Pani rozpytywała się Gustawa, który słowo swoje wtrącał, Zosia wszystkim przerywała hałaśnemi dziecinnemi wykrzyknikami. Najmniej było słyhać Rózi która jednak niemilczała. Właśnie w chwili kiedy gwar ogólny stał się najgłośniejszym, Piotrek wpadł prędko we drzwi i powiedział na cały głos: Proszę państwa, oficer! Obejrzeni się wszyscy, ukazała się twarz z czarnemi małemi latającemi oczkami Makarowa który tuż za Piotrkim szedł i stanął na progu.

Całe towarzystwo zamilkło, języka w gębie zapomniawszy. Żandarm spotkał same albo zdziwione albo potrwożone spojrzenia domowników, z pomiędzy których najmniej odważne były Bojalskiego, najmniej ta-

joną zgrozą tchnące były Zosi, ale spotkał także dwa zaśkrzone niebieskie oczy Gustawa, pod zamarszczonymi brwiami, które dosyć wyraźnie mówiły, że z nim głównie mieć będzie do czynienia, jeżeli...

— Ah! Bardzo cieszę się że Panie widzę w dobrém zdrowiu i w dobrym humorze! Bałem się że Panie istotnie były chore!

Nikt nieznalazł słowa odpowiedzi. Bojalski wybąknął bez myśli żadnej: Panie kapitanie... mimo swego strachu, głosem nieschodzącym do przeproszenia, chociaż nie zdobywającym się na opór.

— Chociaż przypadkowie tylko zdarzyła mi się sposobność Panie poznać, rzecze z głębokim ukłonem i szyderskim uśmiechem...

Gustaw nie dał mu skończyć i przystąpił do niego.

— Mości Panie, do pań się mówi grzeczniej i z uszanowaniem.

— Niewiem kto dla kogo niegrzeczny, czy ja dla Państwa, czy też Państwo dla rotmistrza Jego Imperatorskiego Wielicestwa, i mówiąc to rozprostował się z pychą, ale spojrzenia Gustawa nie był w stanie wytrzymać, i oczkami swojemi obiegał wszystkich. — Ja dla dam jestem zawsze z największym uszanowaniem jako *blahorodny* <sup>(32)</sup> człowiek, ja właśnie uszanowanie moje chcę paniom składać.

— Najpierwszy dowód uszanowania dla dam, jest nie wpadać tak obcesowo do miejsca w którym one się znajdują. Zdaje się że Pan powinieś o tém wiedzieć.

— Zkąd ja się mógłem spodziewać...

— Jakiż Pan cel miałeś wpadając tutaj tak z nie-  
nacka?

— Czy Pan Dobrodziej jest gospodarzem domu?  
w takim razie będę mu się tłumaczyć.

— Spytajże go się Józefie.

— Może Pan kapitan... urzędowie...

Istotnie ani Bojalski ani nikt nie umiał sobie wy-  
tłumaczyć tego raptownego zjawienia się.

— Czy Pan kapitan słyszy, gospodarz pyta się  
czy Pan tu nie przybyłeś po służbie?

— Jeszcze zapewne z panem Wodzickim, odrzekł  
szydersko, będę miał przyjemność zobaczyć się kiedy-  
kolwiek po służbie, ale teraz wróciłem się tylko po ten  
papier który zapomniałem. — I schował do kieszeni  
leżący jeszcze na stole spis osób loteryjny.

— Zosiu biegnij prędko po krople, rzekła pani,  
utrzymując Rózię która zemdlała, do której także przy-  
biegł Bojalski trochę dla ratowania, a więcej dla wy-  
kręcenia się od czynnego udziału.

Makarów był tak beczelny że udał zajęcie i my-  
ślał czy nie potrafi stać się potrzebnym. Wody zimnej,  
zawołał, hej *człowiek* (33) daj wody zimnej!

— Cóżto Pan niewidzisz że Pan jesteś przyczyną  
tego wszystkiego zamieszania, i że ztąd wypada się  
Panu usunąć? — I wziął go silnie za rękę powyżej  
łokcia i wyszedł na przedsiónek z Makarowem który  
nie pomyślał stawić oporu.

— Proszę! rzekł już na przedsióнку, kiedy Gu-  
staw rękę jego puścił, — tego się niespodziewałem żeby  
panny aż mdlały kiedy zobaczą wiernego sługę go-

sudara. Muszę o tém zrobić raport jak uważają wojennych<sup>(34)</sup>.

— Dobrze Pan uczynisz. Dowiemy się może przy sposobności téj, jak władze wyższe uważają ludzi złego wychowania. Gdzie się téż Pańskie konie podziały?

— Tam na drodze. Zeskoczyłem żeby tylko zabrać papier i nazad siąść na powózkę.<sup>(35)</sup>

— Piotrek pójdź powiedz ludziom kapitana żeby tu zajechali po niego.

Natychmiast Piotrek pobiegł. Gustaw i Makarów stali milczący na ganku, pierwszy z postanowieniem niepuszczania go nazad do domu pod żadnym pozorem, drugi pomrukujący sobie pod nosem słowa na który tamten nawet uwagi nie zwracał.

— Czego kapitan tam jeszcze chce, rzecze zastępując mu drogę odedrzwi?

— Wypada pożegnać się z gospodarzem. Inaczej byłoby niegrzecznie.

— Widziałeś Pan że gospodarz jest zajęty trzeźwieniem córki. Podejmuję się oświadczyć mu Pańskie pożegnanie, a jeżeli Panu nieprzyjemne moje pośrednictwo, możesz Pan przez służącego kazać powiedzieć.

— Człowiek! powiedz Panu twemu że kazałem mu oświadczyć moje uszanowanie, i przepraszam że sam się z nim nie żegnam. — I spojrział z góry na Gustawa któremu mniemał uczynić przez to osobliwe ubliżenie. — A z Panem spodziewam się do widzenia, niewiem dobrze kiedy, ale zawsze do widzenia.

Odjechał przecie na prawdę.

## ROZDZIAŁ XI.

### Znowu pod lipą.

**W** kilka godzin po odjeździe nieproszonego gościa, mieszkańcy Osin i Gustaw siedzieli pod lipą, koło okrągłego stołu. Całe towarzystwo było jak zważone, ale wszyscy jak byli, potrzebowali znajdować się razem, bo nikt ani słowa nie miał do powiedzenia, któregooby niechciał żeby słyszeli wszyscy. Wrażenia dzisiejszego ranka pewną wspólność zaprowadziły pomiędzy nimi. Bojalski doznawał przesytu wrażeń. I trochę miał strachu, i sam urosł w mniemaniu własnem sądząc że się walecznie stawił, i zaczynał doznawać nieudanęj zgrozy na widok bezczelności którą dopiero poznał wtenczas kiedy przyszła go szukać we własnym domu w którym sądził się być zakopanym i od niej bezpiecznym. Powtarzali to samo co przez te kilka godzin mówili, ale ich to zajmowało zarówno, bo nieostygli z wrażenia.

— Jaka to złośliwa sztuka ten kapitan. Gdyby mógł, wszystkich nas w łyżce wody by utopił.

— Piękne staranie się o znajomość.

— Cóżto, to napaść wyrażna domu gwałtownemi sposobami. Lepiejby już grozić po prostu, a nie sztydzić udając z początku grzeczność.

— A jak nas chciał ująć opowiadaniem schwytanego orędownika z Francyj, na którego czatował przebrany.

— Na pana Gustawa szczególnie brzydko patrzy!..

— Żeby czasem nie mógł zaszkodzić!

— Nie bójcie się dzieci. Nie może dać temu żadnego pozoru politycznego, a tylko wtenczas takie podrzędne istoty mogą zaszkodzić. Prawda że mogą wyrzucić drobne nieprzyjemności, ale na tém koniec.

— Może Bóg da że nie będzie wiekować w Radomiu.

— Żeby się tylko do ciebie Gustawie nie przyczepił.

— Do mnie? Ja się wcale tego nie boję. Przecież nie ja jestem gospodarzem w Osinach, (nie wspomniał nikomu o odgrózkach Makarowa które doskonale zrozumiał), i tego nie mogą podciągnąć pod rzecz polityczną. Ale mnie się zdaje że on na tém nie poprze stanie i odwiedzi cię jeszcze.

— Czyżby się ośmielił?

— Taki bezczelny człowiek na wszystko się Pani ośmieli.

— Prawda! jak się nam przedstawiał...

— To go przyjmę drugi raz jak pierwszy. Dam mu jeść, będę się z nim obchodził grzecznie ale zimno, a one się niepokają.

— Wypatrzy godzinę obiadu.

— To wstaną od stołu.

— Nie ojcze, byłaby nowa scena. Zostaniemy, ale w milczeniu. Po obiedzie już nas więcej nie zobaczy.

— Ale wiecie Państwo czém nas wszystkich może dotknąć? Ale nie, pieniądźmi się wyrobimy.

— Nie psuj nam ducha Gustawie. Ja ci otwarcie powiem że się niczego nie boję, rzekł Bojalski, w tój chwili wielki zuch.

— Nam nic nie uczyni, zgoda, ale przeszkodzi nam ludzi od wojską bronić.

— Biedna Janowa! — I dziewczęta na siebie spojrzwały.

— To jeszcze mogłoby się zdarzyć, Gustawie, chociaż on wprost nie ma do popisu.

— Ale sami będąc w Radomiu zmiękczyliśmy urzędników i lekarzy.

— Będziesz tam?

— A jakże? Nerozumiem jak można niebyć. Potrzeba bronić ludzi. Jechałbym choćby nawet nie spotkanie tego żandarma. Nie wątpię że i ty jedziesz.

— Naturalnie, choć mój Józefowicz dosyć zręczny, i mógłby mnie zastąpić.

Musimy czytelnikowi powiedzieć że to nie było dotąd rzeczą stanowczą w umyśle Bojalskiego, dopiero teraz nią się stało. Panie Bojalski, co tóż z ciebie wyrabiają!

Piotrek zaczął zastawiać herbatę, i nie domyślając się o mieczu który nad nim na włosku wisiał, żywy

jak zwykle, ile razy co przyniósł na stół, zawsze znalazł coś powiedzieć o Makarowie albo o jego ludziach, a choć pan Bojański a nawet pani, nie lubili wtrącania się służących do rozmowy, jednak dzisiaj chętnie słuchali konceptów Piotrka, który tém zachęcony coraz bardziej się wysadzał. Dziewczęta niemogły widzieć téj wesołości nad przepaścią bez wzruszenia; Zosia szczególnie, ocierała często grubą łzę z oczu.

— Proszę Jaśnie Państwa, (etykieta szła i dziś swoją drogą), ten Moskal nie przypadkowo się wrócił po ten jakiś papier, on umyślnie go zapomniał. Tak jak wilk szedł cicho. Postrzegłem go jak dopiero miał wejść na schódki, zaraz co żywo do drzwi poszedłem zawołać Jaśnie Państwa, że oficer idzie, oglądam się, a on za mną. Musiał przez ganek i przez przedpokój biedz, bo ja miałem tylko cztery kroki, a on ze dwanaście..... Proszę Jaśnie Państwu, kucharz powiada, że mu ten żołnierz ukradł ze stołu cztery kotlety, kilka pasztecików i kawał słoniny, i pewny jest że to on, tylko się wstydził narobić hałasu. Piękni mi gościu!.... Proszę Jaśnie Państwa, ja się tylko w oczy patrzył panu Gustawowi, czy nie dać mu za pozwoleniem w twarz, kiedy coś wzdragał się odjeżdżać. A do mnie mówił: ty człowiek, powiedz twemu panu,.. I tu zaczynał przedrzyżniać wymowę cudzoziemską żandarmowskiego oficera.

Za każdym razem kiedy z domu przynosił jakikolwiek przyrząd herbatowy, zdawało się że przyniósł także jakąś nową gadkę, którą przerywał rozmowę. Jedną jakąś najwięcej go zajmującą rozpowiadał i upuścił

garnuszek ze śmietanką, który upadł koło nóg Zosi lekko obryzgawszy jęj sukienkę. Dotknięty swoją niezgrabnością daleko więcej niż gdyby sam się był mocno skaleczył, zaczął przeproszać Jaśnie Pannę, nawet wcale pociesznie, ale Piotrek od wczorajszego dnia już nie był dawnym Piotrkiem, nic w nim śmiesznego nie mogło teraz być; był ofiarą. Jak to wytłómaczyć, że to samo co onegdaj byłoby pobudziło wesołość, dziś rzewniło? Dość, że Zosia widząc go tak zafrasowanego o nic i do nięj mówiącego, Zosia zmuszona na nieszczęśliwego się spojrzeć, nie mogła się utrzymać i zalała się łzami. Pocziwe chłopczysko jeszcze bardziej się zmięszalo, nie wiedząc czy to się odnosi do jego niezgrabności czy do wspomnienia porannęj sceny, i stał zmięszany; wszyscy spojrzeli na Zosię która nikogo nie widziała; rada byłaby łzy swoje połknąć a miała w wyrazie swojęj twarzy coś pięknego idealnie, powiemy nawet anielsko, bo jeszcze nie mogła mieć zwykłego kobiecego wdzięku, tylko tę nadziemską piękność, dla której, że tak się wyrazimy, nie ma różnicy ani wieku ani płci, którą nadać zdolne jedynie boskie uczucie, którą twarz ludzka przybiera chyba jeżeli jest ożywiona przez wybraną duszę, którą w całych wiekach niemnodzy tylko mistrzowie zdołają odmalować. Ilekroć im się to udało, tyle arcydzieł nieśmiertelnych.

— Niezgrabiaszu, jak można tak nieuważać! bo — Daj mu ojeze pokój. Czyż on biedny nie chciał zawsze jak najlepiej.

Teraz Piotrek znowu mało się nie rozbeczał, sam

nie wiedząc czego, ale coś było tak rzewnego w głosie panny, jak w wysokiej a dźwięcznej nótce, która do łez pobudza, choćby śmieszno było, choćby wstyd płakać.

— Idź sobie Piotrek rzekła pani.

Rad był z pozoru oddalenia się, bo nie wiedział co czynić ze swoją osobą.

— Co to takiego? pytał Gustaw Rózi.

— Ten biedny chłopiec naznaczony do wojska. Ona o tém wie.

Pytanie i odpowiedź były wymienione w języku francuzkim, ale ostrożność ta była zbyt uczynna, bo Piotrek tak był zmięszany że niezrozumiałby o co chodzi chociażby po polsku mówiono i nad uszami jego.

Gustaw patrzył na Zosię jak na rzadki widok niepospolitego piękna. Ani pan Bojalski ani pani tego nie dostrzegli, widzieli tylko drogą córeczkę we łzach. Rózi nieuszedł jego podziwu. Naszym obowiązkiem jest wszystko mówić. Pomyślała sobie: Jaka ta Zosia jest szczęśliwa dziewczyna, że jój się udało tak nadobnie się rozpłakać. Niewiedziała zaś tego, że jój się to już niemogło udać, bo zarazby pomyślała że może być ktoś co się na nią patrzy.

— Moja mamó, ja pójdę do swego pokoju.

— Dobrze moje dziecko. Idźcie lepiej obie.

— Bieda z córkami, rzecze Bojalski patrząc na odchodzące, to mdleją, to płaczą... Ale co się to znaczy Gustawie? — I wskazał na jego bryczkę zaprzęgniętą. Dzielne siwosze, szły stępo, z wyciągniętymi szyjami, biczysko woźnicy nibyto chwiała się w jego

rękach, jakby to bez jego woli, a koniec bicia obiegającego różne wężyki w powietrzu raz na prawo, drugi raz na lewo, niegłośno klaskał w takt, co wcale nie obchodziło koni, widać do tego przyzwyczajonych, które na prawdziwe pęknięcie z bata byłyby prawie ze skóry wyskoczyły.

— To znaczy, kochany Józefie, że muszę Państwa pożegnać. I tak bawię bardzo długo.

— Po co ci jechać? Dziś już nic w Radomiu nie ułatwisz. Przenocuj a pojedziesz jutro rano.

— Kiedy już w żaden sposób niedajesz się za-  
trzymać, pamiętaj obietnicy twojej wstąpienia do mnie  
wracając, choćby na chwilę.

— Ale tylko na chwilę, tyle ile trzeba będzie żeby  
ci odpowiedzieć coby mogło cię zajmować.

W kilka minut państwo Bojalscy zostali się sami.  
Pan już się niełekał teraz gderania jejmości i rad był  
nawet z nią rozmawiać.

## ROZDZIAŁ XII.

### Ostatnia wieczerza.

**N**azajutrz siedzieli wszyscy przy kolacyi w pokoju jadalnym w pasy.

— Cóż znowu wy tak nie jecie? Do czego to podobne? Zosia nawet nic w usta nie wzięła.

— Daj im pokój mężu. Jakże się mogą zmuszać kiedy jeść nie chcą.

— To nie jest rozsądnie. Cóż pomoże frasować się? Komu co z tego przyjdzie?

Lecz ani apetyt ani rozmowa nie przychodziły na rozkaz pana Bojalskiego, który sam także nie był w szczególniejszym usposobieniu.

— Niech mi Jaśnie Pan pozwoli po kolacyi pójść do matki. Przyjechały do niej znajome osoby z Puław. Jutro raniutko już tu będę nim Jaśnie Pan wstanie.

— Dobrze, możesz pójść.

W każdym innym razie byłby dodał napomnienie ażeby stawić się niezawodnie na czas. Pomyślał zaś:

lepiej żeby go nie ze dworu wzięto w nocy. Uniknie się tym sposobem słyszenia hałasów, płaczów.

Zosia o mało co znowu się nie rozplakała. Nie wiemy zaś jak znalazła odwagę powiedzieć głosem nagłym:

— Niech ojciec niepozwała Piotrkowi oddalać się.

— A to co znowu!...

— Zosiu! co też mówisz? odezwały się kobiety.

— ... Owszem, niewidzę przyczyny odmawiać Piotrkowi, nie tu do czynienia pilnego niema, gości żadnych już się o téj porze nie spodziewać.

— Choćby goście tak późno przyjechali, jak wczoraj pan Wodzicki kiedy drugi raz w nocy wstąpił i tylko z Jaśnie Panem rozmówił się i pojechał, to duchem zaraz będę, kiedy tylko chłopak po mnie przyjdzie.

— Drogi ojcze, nie można Piotrkowi pozwolić. Niech ojciec niepozwała.

Piotrek niepojmował co to się stało *młodszej pani*, zwykle tak dobrej, lepszej nawet od siostry, chociaż prawdę mówiąc, obie były rzadkiej dobroci. Nie do przypuszczenia było żeby miała chęć wyrządzić mu przykrość.

— Zosiu przestańże! Zosiu to już za wiele!

— W co się też mięszasz, to sensu niema!

— Kochany ojcze, kochana matko, wiecie najlepiej że mam słuszość.

Jakaś głęboka tajemnica pomiędzy państwem, pomysłał Piotrek.

Co się stało mieszkańcom Osin, że nie użyli do téj rozmowy francuzkiego języka, którym wszyscy mó-

wili równie łatwo jak własnym? Zapomnieliśmy powiedzieć (choć tyle już opowiadaliśmy), że w Osinach, dzięki pani Bojalskiej, panował bardzo rzadki na ów czas zwyczaj, mówienia jedynie po polsku w kółku rodzinném, bez wtrącania nawet pojedynczych okresów ani słów. Zkąd zaś to pani Bojalska przejęła, i jak jój się udało zwyczaj ten ustalić, może się jeszcze powie.

— Zosiu, rzekła pani po francuzku, i odtąd rozmowa tym językiem dalej się toczyła, to nierozsądnie jest w obec tego biednego chłopca takie rzeczy mówić.

— Droga matko, odrzekła rzewnie, nie mogłam się utrzymać. Wystawcie sobie co to za okropność byłaby dla biednej kobiety zostać wśród nocy rozbudzoną przez porwanie syna!

Panie Bojalski, kształcą cię wyraźnie. Niby to nie a trzymają krótko i jak chcą. Już nie śmiałeś teraz jakbyś przed chwilą to był uczynił, powiedzieć że umyślnie trzeba było Piotrka pozbyć się ze dworu.

— Moja Zosiu przecież musi się zawsze dowiedzieć!

— Dowie się ojcze, ale przynajmniej nie w taki sposób okropny.

Obie dziewczyny na przemiany ojcę dowodziły, który wreszcie zawyrokował:

— Trudno! pozwoliłem Piotrkowi, do czegożby to podobne było słowo cofać!

— Piotrek, dodał po polsku, możesz pójść uwalniać cię do jutra.

— Dziękuję Jasnie Panu, pójdę, ale za godzinę wrócę.

— A to dla czego?

— Przez godzinę będę mógł się dosyć ze wszystkimi ugadać.

— Dopiero co chciałeś do jutra rana.

— Przypomniałem sobie że trzeba wszystkie srebra przeczyszczyć.

— Kiedy tak, to czyn co chcesz.

Czytelnik dosyć domyslny jest żeby wiedzieć, że prawdziwą przyczyną nie była gorliwość Piotrka o czyszczenie sreber. Nierozumiał nic tego co się mówiło, ale domyślał się łatwo, że Jaśnie Panny nalegały na Jaśnie Państwo, nie przez złość, nie przez chęć dokuczenia, boby tak serdecznie i tkliwie nie mówiły; one takie dobre, czyżby bez powodów ważnych nalegały tak na rodziców? Teraz, jak przysłowie mówi, choćby go sznurem przywiązał w domu matki, toby nie wytrzymał, ale urwał się żeby przybiedz do dworu. Co to mogło być?... gubił się w domysłach. Czy nie grozi dworowi jakies niebezpieczeństwo, napad? Zawsze coś nadzwyczajnego było w tém wszystkiém.

Piotrek pobiegł co żywo do domu matki. Warto choć pokrótce powiedzieć co się w nim działo. Od wczoraj przybyła tam w gościnę pani Drozdowska, szewcowa z Puław, o mil kilka, dla odwiedzenia Janowój z którą się od dzieciństwa razem chodowały. Miała téż z sobą córkę Małgoskę, a obie przyjaciółki dzisiejszego ranka uradziły między sobą, że trzeba ją za Piotrka wydać, który zdawał się nie mieć wcale do niej wstępu. Dziewczyna przypadła bardzo do smaku pani Janowój; była tłusta i rumiana, co podług niej stanowiło główne cechy piękności. Nie rozumiała żeby

mogło być dla kobiety pogardliwsze i więcej ubliżające wyrażenie, jak powiedzieć o niej: chuda jak szczypa. Nie tyle obelżywem było wyrażenie *małpa* i temu podobne, których jako dobrze wychowana niewiasta nigdy nie używała, chyba w bardzo wielkim gniewie zapomniawszy się, i to jeszcze nie przy wszystkich. Miłość jój własna macierzyńska na tém cierpiała, że Piotrek obok niej wydawał się chudym. Tłómaczyła pani Drozdowskię, że odkarmi się prędko skoro przejdzie na swój stół, a ona mieć będzie nadzór zwierzchni nad kuchnią; wszak nieboszczyk także był dawniej taki cienki, a później, Bogu dzięki, tak mu ciała przybyło że nie przez każde drzwi mógł przejść z łatwością. Małgoska nic nie miała, to prawda, ale w biedzie u rodziców tak się pięknie trzymała na ciele i nauczyła się pracować! ani wątpienia także nie ma, że słuchać będzie teści. Właśnie to była sobota, nazajutrz w niedzielę można spać dłużej, Piotrek w dzień zajęty, ale wieczorem może się wyprosić. Z tych wszystkich przyczyn pani Janowa ułożyła, że będzie na cześć gości kolacya uroczysta, która do późna może potrwać i przy której los Piotrka może zostać objawionym, bo w jój umyśle już był stale postanowionym. Dała mu już przeczuć w bardzo przezroczystrych wyrazach zamysły swoje, lecz nie miała czasu z nim dobrze się rozmówić, wpadał bowiem tylko na chwilę, wyszedłszy ze dworu pańskiego bez opowiedzenia.

Piotrek zastał wszystkich siedzących u stołu, wśród którego odznaczała się między innymi zastawami ogromna misa na której wznosiła się góra spiczasta piro-

gów, zapewne numer drugi, bo talerze przed wszystkimi były napełnione pirogami, nad którymi wszyscy szczegółami pracowali, co wcale rozmowie nie sprzyjało, bo tam nie jadło się jak u Jaśnie Państwa końcem wargów i prędko, ale cały pirog wchodził do gęby i bywał poważnie i wolno rozgniatanym, póki nie przyszła kolej na następny. Tylko pomiędzy jednym a drugim mogła się znaleźć sposobność wtrącenia słowa. Pocałował rękę matki, która sobie usta obtarła drugą ręką, aby złożyć na jego policzku pocałunek pełen macierzyńskiej miłości i dumy. Przystąpił potem jako grzeczny kawaler do ucałowania ręki pani Drozdowskiej, a następnie Małgosi, która właśnie tylko co była do ust wprowadziła znamienitej wielkości pirog, kiedy on drzwi otworzył, i starała się jak najprędzej z nim się odbyć, zarumieniwszy się jak wiśnia kiedy się w drzwiach ukazał, co on niegodziwiec dostrzegł, chociaż spodziewała się że witanie starszych odwróci jego uwagę. Musiała wiedzieć, a przynajmniej przeczuwać tajemnicę obu matek, bo wystrojona była jak na wielkie zdarzenie. Suknia wprawdzie pod samą szyję dochodziła, bo zwyczaj noszenia więcej otwartych nie zeszedł na wsi do niższych stanów, ale bicz koralu czerwienił się na szyi i spadał na suknię dosyć nową perkalikową w duże kwiaty, a we włosach ciemno błę, uplecionych na głowie w różne koszyki, sterczały powtykane kokardy ze wstążek, jakby skrzydła wiatraka. We wszystkich tych szczegółach odzieży tyleż było pocisków wymierzonych na serce Piotrka. Jedna świeca łożowa, zapalona dla uroczystości tego dnia (zwykłym oświe-

tleniem było łuczywo) stała na środku stołu i kowal ucierał ją kiedy niekiedy palcami czarnymi ogniotrwałemi. Obie matrony żywo z sobą rozprawiły. Kowalowa zajęta była dziećmi, z których jedno trzymała na kolanach, a inne koło niej wytrzymuszały oczy na pirogi i inne jadła. Kowal odznaczał się szczególniejszą rozwagą w jedzeniu i czasem który trawił nad każdym kęsem, ale pewnie najdalej ze wszystkich by zaszedł. Próżne miejsce czekało na Piotrką między nim a Małgosią, która nie mając z kim mówić, aż do jego przybycia zajadała jak mogła żeby czasu nie tracić. Nie była z tych któreby schły w oczekiwaniu, a z resztą dużo czasu musiałyby upłynąć nimby się pozbyła zapasu ciała, który podług Janowej czynił z niej piękność znamienitą.

Piotrek wycalowałwszy wszystkie ręce tak szczerze, szczególnie kiedy kolej przyszła na Małgosię, że się aż rozlegało w małej izdebce, uściskał siostrę, potargał trochę dzieci które uszczęśliwione zaczęły się śmiać, i pocałował w policzek kowala, który zaledwie był w połowie swego piroga, co mu nie pozwalało ani odcałować ani mówić, i zasiadł nareszcie koło Małgosi, która przez skromność odwróciła się od niego ćwierć obrotem w prawo, wykręcając się na stołku.

— Przepraszam pannę Małgosię, rzekł Piotrek niby niechcący trąciwszy ją w łokieć.

Małgosia ruszyła ramieniem i ręką jakby chciała odpędzić bąka albo osę. Miało być cokolwiek zalotności w tym ruchu, który chciał nibyto powiedzieć: gniewam się. Wybąknęła przytém wykrzyknik uży-

wany w podobnych zdarzeniach przez płeć piękną wiejską nienależącą do rzędu Jasnie Pań i Panien, którego w Lindem napróżno szukać, którego całe znaczenie w sposobie wymówienia, którego nawet nie umiemy napisać, i nikt podobno nie potrafi. Przez przybliżenie będzie to coś jak: *E, e, e* albo *E, e, e*. Druga głoska jest krótka. Brzmienie, a raczej nota, jeżeli można tak powiedzieć, jest trochę podobna do głosu na który myśliwy wabi rozproszone stado kuropatw, ale koniecznie musi się przebijać wyraz więcej lub mniej szczerzej niecierpliwości i czegoś odpornego. Nic się do niego nie dodaje, a według sposobu wyrzeczenia, znaczy: proszę dać mi pokój, proszę do mnie nie mówić, proszę się odczepić, nic wspólnego z tobą, albo z Panem mieć nie chcę. Przyzwoita panienka powinna zawsze go mieć na pogotowiu dla trzymania w należytej odległości swoich wielbicieli.

— Piotrku dla czego nie jesz pirogów?

— Dla czego matko? odrzekł szukając koło siebie, dla czego? Oto dla tego że panna Małgosia musiała zabrać mi widelec.

Wszyscy w śmiech, pani Drozdowska najgłośniej.

— Ja? z kądże miałam go panu Piotrowi zabrać? A to pięknie!

— A jużci panna Małgorzata musiała go wziąć, nie kto.

— Dla czegożbym go miała zabrać?

— Tego to już niewiem. Panien nie łatwo odgadnąć. Zapewne dla tego żebym nie jadł.

— Czy prawdziwie Piotrku nie masz widelca?

— Najprawdziwiej matko!  
 — Czy które z was nie zdjęło? zapytała kowala i córki.

— Niech się matka niepyta, bo nikt tylko panna Małgoska.

Nowy śmiech wszystkich.

— Prawdziwie wam mówię że niechciałam zapomnieć widelca. To musi być wróżba. (Wiadomo czytelnikowi że osoba zapomniana przypadkowo ma się w ciągu roku ożenić.)

— Piotrku ożenisz się!

— To nie ja się ożenię tylko panna Małgosia, bo przed nią widelca nie było a czém prędej mój porwała. Bardzo pięknie panno Małgorzato!

— Niby to ja!

— Niech matka nie wstaje po inny, a to na co?

— A jakże będziesz jadł?

— Niech się matka nie turbuje, dam sobie rady.

— Ten Piotrek zawsze wszystkich rozweseli!

I wszyscy na niego patrzeli w oczekiwaniu nowego figla, niewyluczając Małgosi, która może ze wszystkich najciekawsze i najlaskawsze miała oczy.

— Oto kiedy mi panna Małgosia zabrała widelec, to słusznie żeby mnie nakarmiła.

Wszyscy w śmiech, prócz Małgosi która stała się pąsową, ale nie z gniewu.

— Słusznie mówi Piotrek. — Słusznie. — Dobrze mówi.

— A widzi panna Małgosia! Wszyscy mówią że prawda, nawet matka; nieprawda pani Drozdowska?

— Nie ma co mówić, muszę przyznać.

— To wolę oddać Panu widelec.

— Ja teraz widelca już niechcę. Kiedy panna Małgosia go wzięła, niechże trzyma, tylko proszę mnie nakarmić. Tak matka Pani kazała. Trzeba słuchać. Proszę tylko wybrać mi piękny pirog, nie mały. Ot ten to zgoda.

Przy głośnym śmiechu wszystkich Małgosia wzięła na widelec pirog i włożyła w otwarte usta Piotrka, który wychwalał że smaczny, doskonały, zażądał drugiego, trzeciego, czwartego. Wątpimy aby w ciągu dwudziestu lat bawiono się aby raz jeden tak serdecznie na pokojach dziedziców.

— Dajże Piotrku już Małgosi, cóż ona będzie ciebie karmić a sama będzie głodna.

— Dobrze matka mówi. Panno Małgosiu, proszę oddać widelec. Teraz ja będę Pannę karmił.

Po długim wzdraganiu się, postawił Piotrek na swoim. Wybrał z całej misy najpiękniejszy, to jest największy pirog dla sąsiadki, która otworzyła ile tylko się dało dość szeroką z przyrody gębę, i pokazała przytém nierówne i nieszczególnie białe zęby; ale na co rozprawiać o zdaniach? Wszystko zdawało się Piotrkowi w niej powabne, a ona ze swojej strony myślała, że jeszcze nigdy nie spotkała tak przyjemnego kawalera. I trzeci i czwarty pirog tak przyjmowała z rąk jego, a nie ustawała ani Piotrka ochota w karmieniu, ani wesołość świadków. Jaśnie Panny nigdy tak szeroko ust nie otwierają jak Małgośka, chyba wtenczas, kiedy nauczyciel śpiewu na nich gwałtem to wymusi.

Jak się tam jeszcze bawili i co więcej mówili przy tém zbytkowém oświetleniu jednéj łożowej świecy, tego już nie pomniemy, dosyć że im się usta nie zamykały, obiedwie matki były rozpromienione, a naśmiały się do łez z wzajemnego karmienia się pirogami. Janowa nawet myślała, czy nie skrócić widząc wszystko na tak dobrej drodze, i nie doprowadzić do oświadczenia zaraz, aby jutro dać na zapowiedź. Małgosia doznawała takiego szczęścia o którym nigdy dotąd nie marzyła. Oczęta jęj niewielkie, jasno-niebieskie, małały jeszcze przy tłustej twarzyczce, opalonej i trochę piegowatej, ale rzucały takie spojrzenia, które Piotrka przenikały. Wszyscy razem byli najlepiej tak jak byli, kiedy raptem Piotrek zrywa się z mięjsca.

— Co to Piotrku?

— Zapomniałem, rzekł, bijąc się ręką w głowę.

— Co takiego zapomniałeś? Wszyscy spodziewali się nowego figla.

— Muszę natychmiast do dworu wracać.

— Dla czego? — A to co znowu?

— Muszę.

— Jakże, na tak krótko tylko cię puścili?

— Cóżby tak wielkiego było, choćby raz nie przyszedł w porę?

— Gdybym nie musiał, czyżbym ztąd chciał odchodzić!

— Wielkie rzeczy że tam jegomość trochę pogdera.

— Gdyby to tylko jegomość, ale on pozwolił.

— Czegóż więc nie możesz zostać?

Piotrek opowiedział po swojemu pokrótce jak było,

ale to się wcale jasnym nie wydało ani jego matce ani reszcie towarzystwa, dla bardzo prostej przyczyny. Piotrek sam jeden był pod wrażeniem tego co widział, bo do tego wystarczało jego serce; nie był zaś w możności przekazania go innym, bo do tego nie wystarczał jego umysł.

— Co tym paniątkom do głowy przyszło, tego nie pojmuję.

— Matko, coś jest pod tém czego nie wiem, ale one muszą mieć przyczyny dobre.

— Co za przyczyny! Czyżby jegomość pozwolił ci odejść, gdyby co niebezpiecznego było?

— Cóżby więc to było? Przecież paniątki przez złość nie mówiły.

— Przez złość nie. Ale widzisz moje dziecko, zawsze wszystkich paniątek trzymają się jakieś głupstwa, których niemożna zrozumieć. A to wszystko dla tego, że nie tak ich karmią jak się należy. Gdyby lepiej jadły, miałyby więcej sił, takby sładnie wyglądały jak Małgoska, i wtenczas nie śniłyby im się na jawie jakieś brednie.

— Mów co chcesz matko, ale ja idę.

Małgosia sładnie za odchodzącym spoglądała. Pani Janowa była trochę niezadowolona, ale zawsze liczyła się do rzędu najszczęśliwszych matek. Powiemy jak pan zastępca wójta gminy Osin, Józefowicz: „*Tyle ich szczęścia, że nie wiedzą.*“

## ROZDZIAŁ XIII.

### Sądna noc.

Niechciało się Piotrkowi wychodzić. Myślał o spojrze niach Małgosi, o zabawie którą porzucał. Oni tam bezemnie zaraz będą ziewać i spać się pokładą, a gdy bym się tam został, do samego ranka gotowiby śmiać się i weselić. Prędko przebiegł drogę do dworu. Brytan podwórzowy zaszcze kał. — Pójdź tu Obal, może się przydasz tój nocy.

Nie było jeszcze dziesiątej godziny. Świeci się w mieszka niach panien i pani, oraz w narożnym pokoju dzie dzica. Tomasz zabiera się do spoczynku. W kuchni i w izbie czeladnej wszyscy chrapią. Nic nadzwyczaj nego w całym domu niema. Piotrek możeby poszedł za tym ogólnym przykładem, mimo podejrzeń jakiegoś niebezpieczeństwa i napadu na dwór lub czegoś innego nadzwyczajnego, ale nie był w usposobieniu zaśnięcia. Obszedł do koła dwór parę razy. Czémby się na wszelki przypadek uzbroić? Jedyna strzelba we dworze wisią la w pańskim pokoju. Poszedł cichaczem do

izby czeladnej, wziął pierwszą lepszą siekiere, usadowił się na ławeczce przedsionku, *pod kolumnadą*, a Obal położył się w nogach. Czasami wstawał i obchodził krąg podwórza, i znowu wracał do swego miejsca.

Wszystkie światła dworu pogasły. Piotrek siedział i marzył, bo Mości Panowie, bywają takie dnie w których się to i waszym sługom zdarza. — Jeszcze dotychczas byłbym siedział koło Małgoški, Bóg wie po co te panienki niechciały żebym się wydała.

Zaświeciło się u zastępcy, ale światło znowu zgasło. Zdaje się widać przy księżycu, że ktoś wyszedł z domu. Ani mu w głowie myśleć kto i po co. Za chwilę znowu odezwało się szczekanie psów na wsi, ale to się tak często powtarza. Wreszcie słychać z daleka szmer niezwyčajny który się coraz zbliża, a wśród którego odznaczają się jakby cienkie wysokie nóty, głosy kobiecego płaczu i łkania urywane. Obal uszy nastawiał i chciał czekać, ledwie dał się uciszyć. Jakaś kupka ludzi stanęła przed domem zastępcy, światło się znowu zaświeciło, wchodzono i wychodzono wśród ciągłego szumu płaczących głosów który czasami wybuchał i zamieniał się w chór przeraźliwy.

Niemógł wytrzymać na miejscu, puścił się biegiem do domku Józefowicza; kupka stała przed drzwiami, kilka kobiet odznaczało się głośnym łkaniem i płaczącym wołaniem. Już się Piotrek niepotrzebował więcej pytać, poznał zaraz co to jest. Rekruci już byli wprowadzeni do urzędowego biura wójta gminy. Chciał się dowiedzieć którzy, chociaż domyślał się po kobietach

obecnych, najrzewniej płaczących. Józefowicz ukazał się na progu.

— Piotrze, co tutaj robisz, zapytał zdziwiony, prawie zmięszany.

— Przyszedłem zobaczyć.

— Wejdz do mnie, mam ci coś powiedzieć.

Piotrek wszedł bez żadnego podejrzenia. Pierwsza izba, miejsce urzędowe, miała stoły do pisania, szafy do papierów i kilka stołków. Obok niej alkierz, bez żadnego innego wyjścia, bywał zazwyczaj sypialnią Józefowicza, jeżeli go nie ustępował jakiemu gościowi, urzędnikowi z obwodu, w którym to wypadku on sam przenosił się na drugą stronę, stanowiącą jego własne mieszkanie, gdzie przesiadywała małżonka z którą blisko trzydzieści lat przeżył. Dziś ustąpił swego alkierza na resztę nocy dla biednych rekrutów, którzy tam stali, w liczbie trzech, wszyscy milczący i jakby sobie niezdający jeszcze sprawy z tego co nastąpiło.

— Chodźcie no sołtysi i czterech gospodarzy których wyznaczyłem.

Weszli wszyscy i zastąpili swojemi osobami miejsce przy drzwiach.

Józefowicz przybrał wyraz trochę śmieszny w każdym innym razie urzędowej powagi, ale widać było po nim że nie z upodobaniem to czyni.

— Jesteście naznaczeni razem z radnemi do pilnowania rekrutów.

— Proszę Pana *Gminnego*, <sup>(36)</sup> niech mnie Pan *Gminny* od tego uwolni, odezwał się najmowniejszy i najśmielszy.

— Niech Pan Gminny innych do tego *naznacy*, rzekli inni kłaniając się.

— Ja się was tu nie pytam, czy wy chcecie czy nie chcecie.

— Ja taki, Panie zastępcu, nie będę, niech co chce się stanie.

— Będziesz, bo to nic nie pomoże.

— Taki nie będę.

— Żebym ja tu musiał szukać takich co chcą, to bym nigdy nie znalazł, bo gdzie takiego aby jednego znaleźć.

— A *juści*, dobrze Pan Gminny *mówią*.

— Przecież ja sam nie z ochoty to czynię; żebym tylko mógł, to bym wszystkich pouwalał, ale cóż robić, muszę. Może też i uwolnię którego.

— A *juści* myć to wiemy. Ah daj *wielgi Boze!*

— I wy także choć nie chcecie, musicie....

— Ja taki nie będę i nie będę....

— Będziesz bo musisz. Jeżeli będziesz nieposłuszny lub dasz któremu uciec, to ci wezmą twego Bartosza.

— *Abos* to ja, *proszę* Pana, nie wiem *ze* jedynaków nie biorą!<sup>(31)</sup>

— Tak, nie biorą, ale zapewniam cię że wezmą, jeżeli z twojej winy nie będzie dostawiony który z rekrutów naznaczonych. Moja odpowiedzialność tu się kończy. Ja wam oddaję pod dozór. Dopilnujcie czy nie dopilnujcie, oddajcie czy nie oddajcie, to już nie moja rzecz. Choćbyście nawet wszystkich puścili, ja za to nie odpowiem, ale wy będziecie mieć do czynienia nie ze mną, ale z rządem, który z wami robi

co zechce, może was samych weźmie, albo z żonami i dziećmi wywiezie gdzieś daleko, hen, hen, gdzie trawa nie rośnie.

Dzisiaj już, lat dwadzieścia później, chłopu nietylko tak długo mówić i tłumaczyć mu teorię bezwarunkowego posłuszeństwa.

— Taki nie będę. *Cys to Wielmożny Zastępca nie mógł też kogo innego naleść, a to koniecznie mnie?* — dodał prosząco.

— Nie mogę. Muszę kogoś naznaczyć i ciebie naznaczyłem. Gdybym ciebie jednego uwolnił, toby każdy chciał zostać uwolnionym i nikogobym nie znalazł.

— Stachu, dajcie pokój, odezwali się radni, którzy zaczęli mu dowodzić że opór na nic się nie przyda, i ledwie go potrafili do milczenia doprowadzić.

— Otóż wam oddaję czterech rekrutów. Okiennice podeprzecie drągami, dwóch będzie nocować na dworze; te drzwi na klucz zamkniecie, a drugich dwóch będzie tu spało.

— *Proszę Pana Gminnego, ozwał się jeden z sołtysów, a gdzie czwarty lekrut?*

Chwila była krytyczna dla Józefowicza. Nie przez wyrachowanie, dla zmniejszenia oporu, nieobjawił Piotrkowi dotąd jego losu, ale nie mógł się na to zdobyć, i przynajmniej ile możliwości ociągał. Byłby wiele dał, żeby kto inny mógł go w tym zastąpić. Rachuby zaś tej, żeby cios uczynić mniej dotkliwym przez ostrożne wyjawienie słowa strasznego, nie miał wcale. Siebie tylko szczenił ile mógł.

— Czwarty rekrut Piotr, rzekł wskazując go ręką.

— Ja Panie Zastępcu? rzekł odurzony, jak gdyby obuchem w łeb dostał.

— Ty sam mój biedny Piotrze.

— Tego to ja dzisiaj w nocy dworu pańskiego tak pilnowałem!

Józefowicz nie zrozumiał znaczenia tych słów. Myślał że go Bojalski przysłał z ręcznie pod jakimbądź pozorem, ażeby *wszystko spokojnie się odbyło!!!* Chciał go jednak trochę pocieszyć.

— Nie trzeba znowu mój chłopcze zanadto rozpaczać. Jeszcze wszystko nie jest stracone. I dodał ciszej: Będą za tobą silne starania.

Na Piotrku te słowa uczyniły nie większe wrażenie, jak żeby powiedzieć choremu któremu lekarze przepowiedzieli śmierć bliską, że natura ma jeszcze niedocięzione tajniki, które mogą życie ocalić.

— Rusz się tam który i każ komu przynieść dla nich słomy albo siana. Do dnia jeszcze kilka godzin. Dobrze byłoby się jeszcze przespać.

— Gdzie im teraz do snu, *proszę* Pana Gminnego, odezwał się głos jeden, któremu towarzyszyło parę westchnień głębokich na różne tony. Rozkaz jednak prędko wykonano.

— Dobrze przynajmniej przeleżeć. No mój Piotrze, nie ma co robić, trzeba pójść do alkierza i być z nimi razem. Położysz się na moim łóżku.

— Ah Panie Zastępcu, czy ja się też spodziewałem!...

— Mój bracie, ani ja się nie spodziewałem. Zrobiłem ci wyłączenie przez wybór<sup>(38)</sup>, zdawało się że cię

powinno obronić. Ale z tobą nie jest tak źle, dodał po cichu. Panny za tobą bardzo obstają.

— Panny?... ..

— Sam słyszałem jak przy mnie prosiły pana na wszystko, żeby ciebie starał się uwolnić.

— To panny wiedziały!...

— Jużci że wiedziały, kiedy prosiły za tobą.

Pan zastępca mówił to jak człowiek gniewający się na siebie, że niepotrzebną rzecz dał do zrozumienia tak jasno że niepodobna już się i wymawiać.

— Kiedy panny wiedziały, dla czegoż mi żałowały żebym ostatni raz u matki się zabawił!

Józefowicz już tu nic nie rozumiał, ale nie chciał się już więcej wypytywać.

— Panie Zastępcu, niech mi Pan Zastępca pozwoli pójść do matki z nią przebyć ten czas.

— Mój Piotrze, tego ci nie mogę uczynić.

— Cóż to Panu Zastępcy by szkodziło?... Mój drogi Panie.... Nie ucieknę, zaręczam, i dokądżebym uciekł?

Józefowicz był nieubłagany jak skała, choć jemu samemu na płacz się trochę zbierało. Czy siła charakteru? czy obawa ucieczki i własnej odpowiedzialności? czy Janowej czułość chciał szczerdzić? Nie, czytelniku. Było to samolubstwo własnej czułości. Śmiesznie może to wyrażamy, mniejsza o to, byleś zrozumiał rzecz. Może lepsze wysłowienie znajdziesz. Bał się syna puścić do matki, żeby go z rąk jój potem nie odrywać. Na co mu nowego kłopotu? wszakże dzisiaj i tak już dosyć się nafrasawał.

Skoro ujrzał wszystkich czterech zamkniętych na klucz który jeden z wartowników schował, udał się na drugą stronę i wszedł do alkierza odpowiedniego temu, w którym zamknięci byli rekruci. Świeca była zapalona. Towarzyszka jego życia od lat blisko trzydziestu, odezwała się do niego ze swego łoża:

— Nie mogłeś też znaleźć innego miejsca dla rekrutów, gdzie w śpichlerzu albo w jakim gospodarskim budynku, nie tu u nas, żebyśmy mieli taki hałas.

— Trudno moja duszko! Żadnego miejsca nie miałem gdzieby ich można tak bezpiecznie zamknąć.

— A w magazynie?

— Broń mnie Boże. Tyle żelastwa. Jeszczeby któremu do głowy przyszło zabijać się.

— Zaczynają się płacze pod oknami.

— To nie jeszcze to co tutaj słyszysz. Ale żebyś to zemną była kiedy z chałup ich brałem, to dopiero było... sądny dzień..... Jednego tylko Piotra, syna Janowej, udało mi się wziąć bez lamentów i krzyków. Sam mi jakoś się nawinał. Wiesz co, gdyby mi kto powiedział: czy wolisz dostać sto batów, kozackich, odlewanych (byle bez świadków i nikt nie wiedział), czy też iść drugi raz po rekrutów, powiedziałbym: dawaj baty. Szczęśliwy kto niepotrzebuje służyć. Gdybyśmy mogli wziąć choć najmniejszą dzierżawkę, choć jakie probostwo.....

— Cóżbys poradził na probostwie? Nie wyżyli-  
byśmy.

— Ale przynajmniej na kilka dni przed branką

wyjechałbym z domu i nie wróciłbym aż po wszystkiém. Ja nie rozumiem że państwo w domu siedzą teraz.

— Oni we dworze tego nie słyszą. Oto głos Dąbkowskiej, a ten, kowalczychy.

— Czy nie wyjść mi, kazać im się uciszyć? Będzie tego do ranka.

— Daj pokój. Żeby też nie dać im jeszcze się wyplakać! Przecierpimy już jak można.

Piotrek dotąd jeszcze jako tako się trzymał, chociaż oczy już zaczynały mu się łzami zapełniać kiedy prosił tak bezskutecznie Józefowicza o pozwolenie pójścia do matki. Chociaż był zawsze dobrym synem, miał więcej na celu zobaczenie się przy tej sposobności z Małgosią, a kiedy mu oczy zachodziły łzami, to było głównie na myśli, że onaby płakała tak rzewnie....

Towarzysze jego byli w pewnym rodzaju odurzenia, którego on doznał tylko samej pierwszej chwili. Rozpacz niezawsze wznosi człowieka. Każdy był zagłębiany sam w sobie, jak gdyby nie miał obok siebie współników niedoli. Westchnienia, łkania, lub wykrzykniki oderwane i pojedyncze: oto wszystko co było słychać. Pierwszy Piotrek przemówił do innych.

— O my nieszczęśliwi, czyż my już nazawsze ztąd wyjdziemy!

Wszyscy odpowiedzieli, kto westchnieniem, kto płaczem, kto gorącym wezwaniem: O mój Boże! Boże! Już coś wspólnego między nimi się zawiązało!

— Czyż my już nigdy drogich swoich nie zobaczymy!

— Co wam Piotrze, jeszcze wam nietyłe, wy sam jeden.

— A matka?

— Cóż matka! bez was będzie żyła! U mnie i matka i żona i dwoje dzieci! O mój Boże! Boże! zmiłuj się nad sierotami!

Kobiety obeszły dom do koła i zaczynały zbliżać się do okiennic podpartych drągami przez wartowników.

— To ty Michałku! odezwał się głos z za okiennicy, o Boże! Boże! zmiłuj się nad sierotami które zostawisz.

Słowa te nie były mówione ale wypłakane, to jest, że tak się wyrazimy, wyspiewane płaczem który wtorał na wyższą, przeciąglejszą nutę lamentowi męzowskiemu, który tém pobudzony zaczynał znowu od początku. Myśl już nie leżała w słowach, które były tylko wskazówką, pobudką, tematem, ale w spadkach głosu na przemiany albo urywanego, albo przechodzącego w najprzeróżniejsze ludzkie wycia.

Lud nasz wiejski najwięcej do przyrody zbliżony, nie pojmuje delikatnych odcieni uczuć. Wcale ich do siebie niedopuszcza, albo też zupełnie opanowany niemi, może nawet wydawać się *opętanym*. (Dla czego niestety raz się pokazał nim istotnie!) Trzeba go widzieć w chwilach głębokiego żalu, kiedy dojdzie do tego stopnia, że słowa tracą wszelkie znaczenie. Trzeba słyszeć jakich głosów z wnętrza serca dobywa, których nigdy nikt się ani uczył, ani może nauczyć, a wtenczas tworzy się z nich mimowolnie rodzaj śpiewu, który dreszczem zimnym przejmuje. Rozmaite głosy jednych i drugich naginają się do jednego wspólnego dźwięku, który je razem trzyma, tak jak opaska rozpuszczony

bogaty warkocz którego włosy rozwiewają się na wszystkie strony. Jestto dramat śpiewany, który usprawiedliwia pierwotną tragedję grecką. Ty który jesteś w stanie przenieść to wrażenie, nie uciekaj kiedy się z nié m spotkasz, bo żadni mistrzowie niemogą ci dać nic rzewniejszego, jak ta prawda która ci się przedstawia żywcem. Lecz jeżeli masz tego szukać jak prostej rozrywki, daj lepiej pokój, nie popełniaj rodzaju świętokradztwa; nie przystępuj bez czci serdecznej, i słuchając wchódź w obcowanie z uczuciami tego ludu nad którym sądzisz we wszystkiém górować. Wyjdiesz lepszym z téj próby, której nigdy nie zapomnisz. Nie trzeba ci branki na to czekać. W chacie wiejskiej w której umarł młodzieniec albo dziewczę, uważaj tylko a rozróznisz głos matki górujący nad głosami braci, sióstr i sąsiadek. W czasie pożaru który całe mienie zabiera, posłuchaj zaklęć do strasznego żywiołu wyrzekanych to jest wyspiewanych przez całą rodzinę. Jest sława gotowa która czeka pierwszego który potrafi wytłómaczyć przez uczoną muzykę te śpiewy dotąd bez nazwiska.

Zaczęły się schodzić inne kobiety. Przystępowały do okiennic, aby lepiej słyszeć swoich. Okna zamknięte były wprawdzie, ale nie miały wszystkich szyb, co było dla nich prawie wszystko jedno, bo tam nie było rozmowy, a słowa nie miały już żadnego znaczenia, krzyk zaś ogólny przebiłby się przez wszystkie ściany. Jedna stara kobiecina, lat pięćdziesięciu, kulawa, pomarszczonéj okrągłej twarzy, najcieńszym płaczem wiodziła. Czasem który z wartowników odezwał się do

niej: kowalczycha, co tam pomoże płakać, trzeba się zgadzać z wolą Pana Boga; lub przerwał jęj inną jaką uwagą, na co ona odpowiadała tylko: O mój miły Jóźku, Jóźku! i znowu dalej wywodziła na jedne i ciągle téż same słowa: Na toż ja ciebie rodowała, chodowała! głosu ostatniego z podwojoną siłą dobywając kiedy usłyszała z alkierza słowa tak proste: Oj matulu, matulu! które jęj wydawały się szczytem wymowy! Inne kobiety były żony, siostry i wreszcie mnięj bliskie lecz udział w biedach cudzych biorące, lub czujące pociąg do uczestniczenia w smutnych scenach i do wyplakania się śpiewnie. Te przemieniały się kolejno wtórując niezmordowanęj kowalczyse, do czego przybywały to westchnienia wartowników któreby o ćwierć mili powinno być słyhać, to wykrzykniki: Boże, miły Boże!

Podług pojęć bardzo wielu osób, to stanowiło wrzawę nie do opisania, ale biedni zamknięci wcale nie byli tego zdania. Tylko wielka żałość umie oceniać te głosy, którym radziliśmy tobie czytelniku przyśłuchiwać się, a gdzież u nas znajdzie się człowiek z sercem któryby wielkięj żałości w sercu nie nosił? Rekrutom lżej było słuchając, i namiętnie wtręcali kiedy niekiedy to głos swój, to westchnienie w ten chór kobiecy. Istnieje pewne upojenie żalu, któremu płacz dopomaga, a które nie jest bez rozkoszy. Nie wiercie temu że trzeba zapobiegać objawom rzewności. Jeżeli Janowa ma utracić syna, to już lepiej niechaj się pierwęj nad nim wyplacze, i nie pozbawi się ani jednęj chwili pożegnalnęj. Zamiar panienek był najczystszy, ale się niebożęta myliły.

To trwało już parę godzin. Nikt nie myślał spać, nawet wartownicy, bo nikogo nie było obojętnego. Wszystkie kobiety usadowiły się jak na długie posiedzenie. Głos kowalczychy zawsze cienko wywodził, a inne wtórowały. U Jaśnie Państwa i u nas wszystkich piśmiennych i surdutowych, nietylko że *dobrze wychowanie* wygląda a przynajmniej osłania wszystkie gwałtowniejsze wybuchy, ale nawet niestarczyłoby ani sił, ani piersi, na oddanie się rzewności w taki sposób. Piotrkowi oczy łzami zachodziły na wspomnienie domu, a szczególnie Małgoški. Matkę inaczej zupełnie kochał, w sposób który do płaczu nie czynił go tyle sposobnym. Dla czegoż to, pomyślał, każdy z nich ma tuż obok siebie za tą ścianą kogoś ze swoich, oprócz mnie jednego? Żeby matkę zawołać, możeby i Małgoška przyszła.

— Hej! Słuchajcie moją dobrą kobietę! — I stuknęła przytęm w szyby aby lepiej zwrócić ich uwagę.

Umilkły wszystkie prócz stariej kowalczychy, która na chwilę zatrzymała się, ale poznawszy że to nie jest głos miłego jej Jóźka, znowu wywodziła dalej cieniem płaczem swoje nieskończone *recitativo*, niezważając że jej nie wtórują inne głosy, których ona może wcale nie słyszała, mając oczy i uszy tylko dla syna.

— Czyby która z was nieposzła dać znać mojej matce która nic nie wie?

Nie upłynęło godziny, a przybyła Janowa z całym domem i gośćmi; pani Drozdowska i nadobna jej córka chciały jej towarzyszyć. Jakże przyjaciół odstępować w nieszczęściu? Stara kowalczycha już nie sama

jedna płakała, nikogo innego nie słysząc, przybyła bowiem druga matka. Inne wszystkie kobiety były tylko żonami, albo siostrami, albo może kochankami. Taż sama boleść na wszystko głucha, odmiennie się przedstawiała w tych dwóch niewiastach. Kowalczycha płakała jak kobieta do tego stworzona, która nic innego nigdy nie czyniła; Janowa zaś jak istota zdziwiona i oburzona ciosem śmiertelnym z którym się chciała pasować, i wydawała urywane jakby konwulsyjne krzyki. Co zaś Piotrka lzy wywoływało, to szlochanie Małgosi którego nie mogła przytłumić. Głosy ich jakoś się szukały. W tak krótkim czasie tyle się nabawili razem i teraz napłakali razem, że nie dziwno iż się pomiędzy nimi wszczęło to co nazywają miłością, o czém tyle gadają, a co tak rzadko zdarza się do prawdy!

## ROZDZIAŁ XIV.

*Gdzieś daleko ich pogonią  
Z powrozem u szyi....*

(Karpacze Górale.)

Słońce najpiękniej świeciło, jak na przekór żalobnemu dniowi który zeszedł. Pan Bojalski kazał sobie tego dnia kawę podać pod kolumnadą, a chociaż niewesoły, palił tak samo jak zwykle fajkę, popijając po trochu. Cóż czynić! Najsmutniejsze wydarzenia niezменяją potrzeb fizycznych, i cóżby wreszcie komu z tego przyszło, choćby nawyknień swoich odstąpił?

Józefowicz ukazał się w bramce podwórza i szedł spieszniejszym krokiem niż zwykle. Pan Bojalski wstał i wyszedł parę kroków przeciwko niemu, co się rzadko także zdarzało i dowodziło wyjątkowego stanu umysłu dziedzica.

— Cóż Józefowiczu?

— Jaśnie Wielmożny Panie, popisowi wszyscy ruszą wkrótce do Radomia, przyjdą tu jeszcze pożegnać się z Jaśnie Wielmożnym Panem. Przyszedłem się spytać, czy można im pozwolić.

— Jakżeż im tego zakazać kiedy chcą się z panem swoim pożegnać. Ludzkość nie pozwala.

— Chcą się także udawać do łaski JW. Pana, żeby starania jakie za nimi były.

— Powiem im, że uczynię co można. Nawet sam pojedę do Radomia. Miałeś tam całą noc dużo płaczu.

— JW. Panie, niech ręka Boska broni. Ledwie po wschodzie słońca porozchodzili się do domów, i to nie byliby poszli gdyby nie to, że chcieli rekrutom przysposobić bielizny i trochę żywności. Janowa jakoś niezaraz się dowiedziała, ale kiedy przyszła, tak strasznie jęczała, że myślałem że jęć co w piersiach pęknie.

— Ja nie słyszałem (spał jak zabity), ale pani mówiła mi, że jęć i dzieciom hałas ten nie dał spać.

— Jeszcze dalej nawet pewnie słychać było.

— Jakże urządziłeś odstawę rekrutów?

— Piotra oddaję kowalowi jego szwagrowi, i dawnemu soltysowi z Wólki. Wyprawię tego na samym ostatku. Bardzo prosił się, żeby go nie wiązać. Ci za niego ręczą, a dosyć odpowiedzialni. Zresztą Piotr nie uciecze, bo ma nadzieję, że go JW. Pan ochroni.

— Jakie są co do tego przepisy?

— Ja powinienem oddać ze związanymi rękami każdego dwom gospodarzom, mającym synów, lub mogącym być oddanemi do wojska choćby z lat wyszli.

— Czyż to koniecznie trzeba wiązać?

— Przepis tak każe, a broń Boże nieszczęścia, odpowiedzialność na zastępcę i na samego JW. Pana. Ja wiem dobrze, że to zbyt ciężkie, bo dozorecy muszą ich pilnować i nie dadzą uciec, bo wiedzą, że albo

oni, albo synowie ich byliby wzięci w ich miejscu, ale co robić, muszę swego dopełnić a dosyć dla mnie żebym widział, że tak ruszają. Dozorcy pewnie na drodze rozwiążą im ręce, i mnie już nic do tego.<sup>(39)</sup> Dopełni się to kiedy się już pożegnają z JW. Panem, żeby tak w obliczu Pańskim się nie stawili skrepowani. Kazałem także żeby kobiety zostały wszystkie przed kancelaryą, żeby Pan nie miał tutaj takiego płaczu.

— Kobiety odprowadzają ich do Radomia?

— Wszystkie, wiele tylko ich jest w domach ich, i niektórzy mężczyźni jeszcze. Przynajmniej ze dwadzieścia osób, nie licząc dozorców i ich samych. Ale otóż i oni nadchodzą.

— Hej, jest tam który! zawołał pan Bojalski stukając laską w kolumnę. — Jedyiny nateraz Tomasz przyszedł.

— Wyjdź naprzeciwko tym ludziom i zaprowadź ich przed kancelaryę.

Tomasz poszedł spełnić rozkaz, z Piotrkiem się uściskał i towarzyszył im do urzędowego miejsca posłuchań dziedzica Osin, który nie domyślał się, że piękniej byłoby, na ten raz jeden przynajmniej uczynić wyjątek i pożegnać się z nimi w miejscu zachowaném dla niego i rodziny. Gdyby to usłyszał od Gustawa, pewnieby tak był uczynił.

Szli wszyscy równie posepni, tak że nie poznałbys z twarzy, którzy których mieli prowadzić, a którzy byli tylko świadkami. Stanęli przed gankiem kancelaryi. Józefowicz zaraz do nich przybył, i cała lu-

dność dworu z różnych stron i kątów zbiegła się jak na widowisko.

Drzwi się otworzyły i pan się ukazał. Ukłon głęboki wszyscy mu oddali.

— Jak się miewacie moi kochani!

Drugi ukłon z odpowiedziami niedosłyszaniem, między którymi rozeznać się dawał głos starego żołnierza: zdrowia zycymy Wielmożnemu Panu<sup>(40)</sup>.

— Kiepsko się mamy, proszę Jasnego Wielmożnego Pana, ze tyle lekruta od nas biorą, odezwał się wczorajszy nieposłuszny wartownik.

— A ty jakiś!... co ty jeszcze Panu będziesz wymawiał! Cóż to, Pan kazał brać rekruta?

— Proszę Pana Gminnego, ja Jasnemu Panu, dziadziowi nasemu, nic nie wymawiam, ale kiedy się Pan Jasny pytają, to mówię ze kiepsko. To i cóż? Bo prawda.

— Nie stulisz twojej gęby? Ot jeszcze teraz swemu Panu będziesz gadał takie rzeczy, zamiast prosić żeby się starał za wami i ratował popisowych.

Same ostatnie słowa uczyniły wrażenie. Kilka głosów się odezwało do mównego trybuna: Stachu dajcie tes pokoj. — Ej nie gadajcie bo jesse popsujecie.

— Jaśnie Wielmożny Panie, jabym się spodziewał jesse robić na pańskim<sup>(41)</sup> jezeli za łaską Boską i Pańską powrócę do dom.

Każdy z popisowych się z czymś odezwał. Piotrek powiedział tylko: Niech Jaśnie Pan raczy o mnie pamiętać, i otrzymał odpowiedź: Dobrze mój Piotрку,

szkoda by mi ciebie była. — Wszyscy inni przytomni skłonili się razem i powiedzieli:

— Niech też JW. Pan na nas będzie łaskaw.

Dziedzic Osin istotnie był tego dnia w szczególniejszym usposobieniu łaskawości. Zaczął coś podobnego do przemowy, w której wyliczał wszystkie rodzaje dobrodziejstw których włościanie od niego doznawali. Nie chcemy za to zaręczać, czy przekonał swoich słuchaczy. Sądźmy nawet, że w tej chwili ani się myśleli zastanawiać nad tem co słyszeli, a chcieli tylko dojść do osiągnięcia praktycznej pomocy dziedzica, i gotowi byli żadnych środków nie szczędzić, słuchać cierpliwie, (byliby nawet poklaskiwali gdyby znali ten sposób), gotowiby mówić także wszystko czémby się tylko spodziewali go ująć.

— Prawda Jasnie Wielmożny Panie! Oj prawda, prawda! Pan Jasny, nas prawdziwy ociec, i teraz także nas nie opuści. Udajemy się jak dzieci do ojca.

— Wszystko co można dla was uczynię....

Ukłon wszystkich, i słowa: dziękujemy JW. Panu, które chciały naśladować wybuch mimowolny wdzięczności. Nie trzeba uczyć się czytać i pisać, żeby uchwycić wątle odcienie pochlebstwa.

— Starać się będę wszystkimi sposobami, nawet już o to pisałem i spodziewam się, że wszystkich moich popisowych nie dam.

Nowy ukłon i nowe także same podziękowania, które się następnie powtarzały za każdym przestankiem dziedzica. Tym razem jednak wmięszwały się przez kilku wtrącone wyrazy prawdziwe: Daj Boże! przy

których Stach westchnął tak głęboko i głośno, jak gdyby miech kowalski miał w piersiach.

— Jeszcze do Warszawy każę panu zastępcy pisać o wyłączenia które nam odrzucono. Sam nawet pojedę do Radomia. Będę przy brakowaniu ludzi aby tam jeszcze coś uczynić. Wiecie że zawsze ja prędkiej co wskóram.

— Słyszycie ludzie, odezwał się Józefowicz, oto widzicie, sam pan wasz pojedzie do Radomia...

Choćbyś nas czytelniku miał nie zrozumieć i o złe serce oskarżyć, powiemy ci że z pewnym zadowoleniem dopiero co słyszeliśmy ów płacz stroskanych, bo nam się zdało że idzie prosto do nieba. To zaś co teraz widzimy, obudza w nas pewien wstręt niezwyczęzony do tego zobopólnego udawania. Szczęściem widownia się zmienia.

Bojalski zasmakował wyraźnie w mówieniu i w odpowiedziach które odbierał, i coś jeszcze układał sobie w swojej głowie, ale to jego wewnętrzne przygotowanie się do pokazu zostało przerwane przez nadejście jego ładnych dziewcząt, które postrzegł dopiero kiedy każda z nich wzięła mu po jednej ręce do pocałowania. Mógł mieć swoje ułomności pan Bojalski, ale twarz jego zwykle się wypogadzała kiedy je postrzegał. Na teraz zdaje się jednak, że ich przybycie uważał nie stosownym.

— Czegoście tu przyszły dzieci?

— Chciałyśmy się także pożegnać z nimi.

Panie Bojalski ty dużo gadałeś do *twoich* włóścian, oni słuchali i kłaniali się, ale niewiele ci wierzyli. Przy-

szyły dwa dziewczątka, ani słowa jeszcze niewyrzekły, a wszyscy zaraz poznali w nich prawdziwe współczucie. Tak jest czytelniku, te grube i niepojętne chłopiska wyczytały je od razu. Przecież one ani udawały, ani w ten sposób umiałyby płakać jak ich niewiasty i nawet nie płakały wcale w tej chwili, ale co prawdziwego jest w sercu, to wszyscy jakoś zobaczą. Nie wyobrażaj sobie tylko czasem, że naszym zdaniem dosyć jest ludowi pokazywać Jaśnie Paniemki aby go uroczym jakimś sposobem jak na lep przywabić. Nie czytelniku, nie płęć, nie młodość, nie wdzięki skutek ten sprawiają, ale to serdeczne samorodne uczucie, które na rozkaz nie przychodzi, które jest świętym natchnieniem o sobie niewiedzącym, a naśladować się nie da. Jeżeli zechcecie sztuką je wychuchać, będziecie mieli tylko piętnasto lub osmnastoletnich Bojalskich w spódnicy, próżno-słownych i na pokaz stworzonych, którym więcej nie uwierzą jak jemu samemu. Wybacz szkaradnemu nałogowi że się tak co chwila zagadujemy.

— Niebardzo tu jesteście potrzebne moje dzieci.

— Ojczy, rzecze Zosia, mama pozwoliła, a potrzebujemy nawet widzieć Piotrka.

Piotrek dotychczas chował do nich rodzaj urazy, ale teraz czuł się rozbrojonym i do nich przystąpił kłaniając się każdej z nich ręką do nóg. Ten rodzaj ukłonu zdawałby się każdemu cudzoziemcowi dziwnym, a może śmiesznym lub nawet nieprzyzwoitym. Był zaś w istocie bardzo naturalnym. Mała szlachta używała go względem starszych braci panów, początek więc jego niejest niewolniczy. (Inaczéj zupełnie kłania się Moskal.) Nie-

odpowiada wprawdzie dzisiejszym wyobrażeniom i coraz rzadszym staje się w codzienném użyciu, ale długo jeszcze nie tego niedokaże aby nie wracał się zawsze w nadzwyczajnych okolicznościach. Przepraszamy znowu że tyle gadamy przy sposobności prostego ukłonu Piotrka.

— Piotrku, rzekła Różia drżącym głosem, myśmy się wczoraj bardzo lękały o twoją matkę, w razie gdyby w nocy raptownie się dowiedziała... dla tegośmy ci przeszkadzały w uzyskaniu pozwolenia do domu.

Zosia stała bojąc się ust otworzyć, bojąc się patrzeć nawet, bo wiedziała że dosyć jej najmniejszej rzeczy aby się rozplakać.

Piotrkowi oczy wilgotniały. Nic tak nie rozczuła jak doznawane współczucie w nieszczęściu.

— Panie Józefowicz, komu złożyć co chcemy ofiarować dla tych którzyby nie wrócili? I otworzyła rękę w której było cztery sztuk złota.

— Proszę Pani, najkrócej każdemu dać po jednej sztuce.

— Nie, Panie Józefowicz, nic jeszcze nie wiadomo. Wszystkie cztery są dla tych, albo dla tego którzy będą więci. Ci którzy wrócą, nie potrzebują.

— Najlepiej będzie któremu z dozorców. Niech Pani odda Stachowi Łakucie.

Stach Łakuta (ów oporny) przystąpił do Rózi, która małą białą rączką wsypała w jego ogromną twardą czerwoną łapę dukaty, które odbierał z wyrazem takiego uszanowania jak gdyby od księdza naczynie jakie kościelne.

— Pamiętajcie Stachu, że to tylko dla tych nie-  
szczęśliwych...

— Rozumiem prośbę Panny, rzekł kłaniając się,  
ale jakoś inaczej jak Bojalskiemu, choć na pozór tak  
samo — A może ten Bóg psenajświętszy pozwoli ze  
wsyckie nazad psyniosę!

— A co? teraz przynajmniej nie mruczysz, aby  
raz jeden! rzekł Józefowicz nawykły znajdować go  
zawsze przeciwnym.

— Prośbę Jasnej Panny, już to co z innemi będzie  
to niewiadomo, ale na mnie pewnie się skończy ze we-  
zma. Niech ten ta (42). Jasnie Panienska spytają się  
kiedy o moją matulę i rodzinę, o starą Kowalczykę  
z Wólki. (43)

— Dobrze mój Kowalczyku, same będziemy cho-  
dzić o nie się dowiadywać. I czém prędzej się odwróciła.  
Wspólność zawiązywała się pomiędzy Jasnym Pań-  
stwem a prostym ludem. Dobrym przewodnikiem były  
dwa dziewczątka. Te łzy które siliły się powściągnąć,  
przenikały i rekrutów i wszystkich, i Józefowicza który  
obok małości w które go służebność wprowadzała, miał  
gruntownie dobre serce, a nawet... a nawet samego  
pana Bojalskiego, który zapomniał o dalszej mowie  
którą sobie układał, i (niesłychane rzeczy) powiedział  
kilka słów dosyć obojętnych, ale poprostu i nienadę-  
tym głosem, co także wiele wpływało, choć sobie nikt  
z tego sprawy niezdawał, na ogólną strojność całego  
tego zebrania. Pan Bojalski wcale niebył skąpy, prze-  
ciwnie, do pewnego stopnia był hojnym gdzie chodziło  
o pokaz, i dla tego z przyjemnością patrzył na datek

córek, bo tę sprawiedliwość musimy jemu oddać, że nie mniej pysznił się niemi jak samym sobą. Rad był że się tak pięknie znalazły przed temi biednemi ludziskami, w których widać nawet w tej chwili *tylę przychylności do swego pana*, co rozumie się przypisywał nie czemu innemu, jak samemu sobie, rozumowi swemu, sztuce rządzenia, może téż swojej przemowie. Dosyć że dochodził do najwyższego stopnia życzliwości jakiego był zdolny, a widząc wszystkich, i córki i włościan, tak wzruszonych, że aby jeden tylko którykolwiek zaczął, wszyseby wybuchnęli rzęwnym płaczem, sam czuł się jakby zarażonym, jak n. p. kiedy się wjedzie pomiędzy śmiejących się albo pomiędzy ziewających, czuje się pociąg do naśladowania ich.

— Stachu Łakuta, oto masz, dodaję z mojej strony sto złotych do ofiary dzieci.

Nieprzyszło na myśl Józefowiczowi powiedzieć, w każdym inném usposobieniu konieczne wyrazy: Oto widzicie ludzie, JW. Pan dał sto złotych na rekrutów. Stach uklonił się mniej głęboko, co zaszczyt Bojalskiemu powinno by przynieść. Jednak ta ofiara, chociaż przewyższała dziecinną, nie miała podobnej wartości wewnętrznej, ani w oczach Stacha, ani czyichkolwiek.

Pan zastępca wójta zakazał istotnie kobietom przychodzić do dworu i zatrzymał je przed swoim domem, gdzie niebędąc tuż przy swoich, sprawowały się cicho, to jest nie tak głośno wyrzekały aby można je było słyszeć aż we dworze. Niemogły jednak długo wytrzymać w tém położeniu, i bez względu na upomnienia urzędowe udały się do dworu, gdzie raptem ode-

zwał się ich chór żalony. Dziewczątka nasze zaczęły płakać na dobre jak za własnymi braćmi. Zmięszały się i lzy Jaśnie Państwa i prostego ludu! Józefowiczowi także coś podobnego do łez się w oczach kręciło, Pan Bojalski był jak nieswój, jak gdyby mu coś na nerwy działało, popisowi chcieli pānować nad sobą, wstyd im było przy panienkach płakać. Na Piotrka była chwila trudna, bo rozeznał głos Małgoški, ale zebrał wszystkie swoje siły i odezwał się głosem który chciał uczynić pewnym i ostrym, ale który drżał jednak: — No, ludzie! czego tu będziemy dłużej stali i naprzykrzali się Państwu daremnie? Co to nam pomoże? albowż to nie widzicie jak panienki nasze<sup>(44)</sup> płaczą? Ruszajmy w swoją drogę kiedy taka woła Pana Boga! Chodź zemną Kowalczyku, my oba bezzenni, najprędzej że razem gdzieś daleko powędrujemy! Niech Jaśnie Pan ztąd odprowadzi do pokoju Jaśnie Panny!

KONIEC KSIĘGI I.

## PRZYPISKI.

(1) Wyrażenie urzędowe rosyjskie, znaczące pokwitowanie wydane władzom wojskowym, z wszelkich roszczeń i zażaleń z powodu pobytu wojska.

(2) Naczelnik wojenny, władza mająca na celu bezpieczeństwo polityczne, której nie odpowiedniego znaleźć nie można nigdzie, chyba w tak zwanym stanie oblężenia. Miejsce to zwykle bywa dawane generałowi, i jest źródłem znacznych dochodów.

(3) Wiadomo, że za nieopłacenie podatków, lub niedopełnienie jakiegokolwiek przepisu, przysyłają egzekucję wojskową, to jest pewną liczbę żołnierzy, najczęściej Kozaków, których trzeba żywić. Największa dowolność panuje w tym względzie i bez żadnej przyczyny słusznej, przez złość jedynie, nadsyłają podobne egzekucje.

(4) W roku 1831 posyłano wrzeczona obszyte zajęczą skórą tym którzy zdolni byli broń nosić, a nie wstąpili do wojska.

(5) Zamkowemi nazywano w Warszawie bywających u feldmarszałka Paszkiewicza w zamku królewskim.

(6) Każdy właściciel sprawuje na wsi bezpłatnie urząd wójta gminy, i zwykle ma zastępcę przez siebie płatnego, który wszystkie czynności urzędowe odbywa. Przed jego mieszkaniem, a raczej przed miejscem urzędowania powinna być zawieszona tablica z orłem dwugłowym i stosownym napisem.

(7) Później przezwano województwa guberniami, zaś obwody powiatami. Urzędnicy komisji obwodowej lubo mniej przedajni wtenczas jak później, wyrządzali często przykrości tym którzy zapomnieli przysłać im haracz, zwykle składający się z tak zwanej legominy, czyli zapasów spiżarniowych.

(<sup>8</sup>) Kredensem zowią bardzo niewłaściwie pokój w którym srebra i stołowe przybory; chłopak kredensowy zwykle bywa brudnym dziecięciem, pomagającym lokajom pod ich rozkazami.

(<sup>9</sup>) Zastępcę wójta gminy zowią zwykle jednym wyrazem, zastępeca.

(<sup>10</sup>) Coraz rzadszym staje się zwyczaj który chciał, żeby dziedziców wioski co chwila mianowano Jaśnie Wielmożnemi, co było dodatkiem do wyrazu Pan. Lokaje zaś przez zwięzłość powinni mówić Jaśnie Pan, co także chociaż krótsze, technie większém poważaniem. Około lat 1834 i 1835 zwyczaj ten panował w większej części domów szlacheckich.

(<sup>11</sup>) W całym prawie królestwie kongresowém używają nieznośnego wyrazu *oficyalista*, do oznaczenia sług wyższego rzędu w gospodarstwie, n. p. ekonomów, pisarzy i t. p. Idziemy za złym zwyczajem, nie śmiejąc wnosić nowości.

(<sup>12</sup>) Może nie od rzeczy będzie czytelnikowi powiedzieć, że w owym czasie, po większej części w całym królestwie kongresowém (co się działo okolicami) właściciele starali się usilnie o osadzenie gruntów pańszczyznianych, włościanin zaś był trudny, dawał się prosić, przychodził bez niczego, wymagał wiele. Dziedzie uważał za rodzaj klęski, jeżeli gospodarz przyszedł zrzucić się z gruntu. W jakie lat dziesięć ubieganie się włościan o gospodarstwa stało się większe, już to dla tego że pobór do wojska chronił często gospodarzy rolnych osiadłych, już to wreszcie dla wzrostu ludności wiejskiej i powiększenia ich kapitałów. Po roku zaś 1846 i wyjściu ukazów zabezpieczających chłopom trzymane przez nich grunta, włościanin przecierpiałby największe biedy prędzej jak zejść z roli, a podobno żaden dziedzic się nie znalazł któryby myślał o osadzeniu nowych.

(<sup>13</sup>) *Garderoba* czyli izba panien służących inaczej *garderobianek*. Wyraz równie niedorzeczny jak *oficyalista*.

(<sup>14</sup>) Małżeństwo nigdy nie chroniło od wzięcia do wojska rosyjskiego, chociaż często ułatwiało uwolnienie. Osoby zaś niebiegłe w znajomości przepisów, wierzyły że zupełnie uwalnia od poboru, a to dopóki nie jednym, nie kilkoma, ale bardzo licznymi przykładami nie przekonały się, że tak nie jest.

(<sup>15</sup>) *Interesent*, wyraz używany w biurach rządowych, prawie techniczny, który musiał być przyjemny panu Bojalskiemu.

(<sup>16</sup>) Nie dziwno że pan Bojalski mówił: jadalna *sala*, zamiast *pokój*, bo mu się ten wyraz cudzoziemski zdawał więcej uroczytym, i dla tego grzeszyłobyśmy przeciwko prawdzie gdybyśmy nieprzedstawiali cechujących go wad języka. *Salon oka-*

załej także brzmiał w uszach takiego parafianina, jak *bawialny pokój*. Jakżeby pięknie było skrócić i mówić jednym wyrazem: *bawialnia!* Dla tego także mówił fosi zamiast rowy, i t. p.

(17) Makata jest gruba, silna i prawie wiecznotrwała tkanina wschodnia, niebędąca dziś, ile nam wiadomo, przedmiotem handlu. W wielu domach szlacheckich, nawet nie zbytnie zamężnych, przechowują się dotąd zdobyte za Jana III pod Wiedniem.

(18) Wiadomo że po ukończeniu wojny z r. 1831, pozabierano w królestwie polskiem wszelką broń myśliwską, i od tego czasu bardzo skąpo i z wielką trudnością udzielają pozwoleń. Musiał Bojalski mieć znaczniejszą zbrojownię, lecz nawet taki niewinny człowiek nie mógł jęj uchronić.

(19) Dubas, rodzaj statku mogącego być ciągniętym pod wodę.

(20) Dziś jarmułka, pejsy, nawet brody, i wszystko co stanowiło strój i sposób noszenia się żydów polskich, wytepięone zostało ukazami.

(21) Moskale mówią *duga*. Jest to kabłąk po nad głową końską który trzyma oba dyszle.

(22) Po rosyjsku cześć znaczy zaszczyt. Mam cześć, znaczy: mam zaszczyt.

(23) Kapitan *pełny*, czyli pierwszego rzędu; urzędowe wyrażenie równie jak *komendant żandarmski*, zwykle pułkownik, a przynajmniej major, który jest naczelnikiem żandarmów gubernii lub województwa, póki ta nazwa istniała.

(24) Rosyjski wyraz *pocztenie*, który się tłómaczy zwykle przez uszanowanie na nasz język, niema znaczenia takiego jak u nas, gdzie chyba kobiecie albo starcowi można składać uszanowanie, innych zaś się pozdrawia. U Rosyan każdy każdemu oddaje *uszanowanie*, nawet starszy stopniem młodszemu.

(25) Benkendorff, naówczas dowódzca żandarmeryi państwa rosyjskiego, jeden z najpierwszych urzędów.

(26) Ermitaż, nazwisko jednego z mieszkań cesarskich.

(27) *Gosudar*, znaczy Pan, w potocznej mowie, jeżeli się do niego dodaje przymiotnik *miłościwy*. Każdy list zaczyna się od słów: *Miłościwy Gosudar*. Kiedy zaś ten wyraz wymawia się sam, znaczy to samo co *Car*.

(28) *Proszenie*, po rosyjsku znaczy prosba na piśmie, czyli podanie proszące.

(29) Jego Wieliczesstwo, czyli Jego Majestat, a ściśle *Jego Najwyższość*. Wieliczajsza wola, tłómaczy się w mowie urzędowej przez najwyższą wolę.

(30) *Formularny spisek służby*, wyrażenie urzędowe rosyjskie znaczące formularz, albo też stan służby.

(31) *Rozgrywać loteryę*, czysto rosyjskie wyrażenie, może zresztą nie złe, ale zawsze cudze.

(32) *Blahorodny* znaczy ściśle: szlachetnie urodzony, a dalej podciąga się pod niego znaczenie: szlachetny, porządny, i t. p. coś w rodzaju angielskiego wyrażenia gentleman.

(33) *Hej czelowiek!* sposób rosyjskiego wołania służącego i w swoim i w obcym domu. W swoim jeszcze się przyklaskuje rękami, lub gwizdnie się (tak) zawoławszy.

(34) Po rosyjsku wyraz: *wojenny*, znaczy to samo co u nas wojskowy.

(35) *Powózka* znaczy: wóz, bryczka.

(36) Włościanie zastępcę wójta gminy, nazywają Gminnym, a kiedy mówiąc do niego chcą go bardzo uczcić, powiadają: *Wielmożny zastępcu*.

(37) Jedyną rzeczą uwalniającą od poboru wojskowego jest jedynactwo . . . jeżeli do niego łączy się wiele innych warunków: posiadanie gospodarstwa, utrzymywanie rodziców, i t. p. Zdaje się że wtenczas kiedy rzecz nasza miała miejsce, samo jedynactwo wystarczało.

(38) Syn przez rodziców wybrany jako podpora dla nich, bywał zawsze wolny od popisu. Nowe ukazy coraz bardziej ścieśniały ten ostatni środek ratunku i odrzucano wybory, jeżeli zostawali inni synowie lub syn, do wojska niezdatni, chociażby rodzice widocznie z niego pomocy nie mieli, chociażby nawet w kraju był nieobecny.

(39) Później, w lat około dziesięć, zmieniono ten przepis wcale niepotrzebny i zakazano wiązać dostawianych rekrutów, co było rzeczą nic nie znaczącą obok nieszczęścia być oderwanym można powiedzieć na zawsze od rodziny.

(40) *Zdrowia życzę*, sposób odpowiadania na pozdrowianie starszych w wojsku polskim przed 1830 r.

(41) *Robić na pańskim*, czyli wychodzić na pańszczyznę. Był to wyraźny rodzaj pochlebstwa panu Bojałskiemu przez biednego popisowego.

(42) *Ta zamiast tam*, po chłopsku.

(43) Czytelnikowi nieobznajmionemu z poborem do wojska rosyjskiego, powiemy, że chociaż żadnego prawie wyłączenia nie ma, zwykle jednak szcędzą ludzi żonaty, dietnych i mających gospodarstwa. Kowalczyk nie mając nic z tego za sobą, mógł czuć że jego położenie jest gorsze.

(44) Może nie źle objaśnić niewieśniakom, że słudzy mają zwyczaj wszystko co należy do państwa, nazywać *naszém*, n. p. nasze łąki, nasza granica, nasze konie, co nie znaczy ani dążeń komunizmu, ani zbytnej poufałości, ale wyraża pewną patryarchalność. *Nasze panienki*, w ustach sługi, jest wyrażenie serdeczne, i Piotrek do towarzyszy swoich w obec płaczących dziewczątek nie mógł się inaczej wyrazić, a pewnie takby ich nie nazwał gdyby obojętnie obok nich przeszły.

(\*) Józef nie ma opisanie powiadomienia, że żniwa mają  
 być, wzięto co należy do państwa, najwyższe mierzono, a p.  
 nasze były, nasze granice, nasze kornie, co nie żniwa ani dają  
 komisji, ani sędziów powiatów, ale wzięta pewna partya  
 kornie. Wszelkie kornie w takich sędziach jest wzięte  
 iż, co i Józef do ławicy, zwabił w obec Józefa  
 dawać, nie mógł się inaczey wzięto, a pewnie takby ich nie  
 użwał były, opisanie, choć nie były.



